ROK XXVI. STYCZEŃ 1918. ZESZYT I.

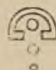
KWARTALNIK CHYROWSKI

DEO - PATRIAE - AMICITIAE.

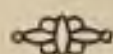
KORESPONDENCYA PRZYJACIELSKA W MIEJSCE RĘKOPISU.

•••

ORGAN KONWIKTU, SODALICYI KONWIKTOWEJ, CHYROWSKIEGO KOŁA TOW. IM. PIOTRA SKARGI ORAZ ZWIĄZKU CHYROWIAKÓW.



1893-1918.



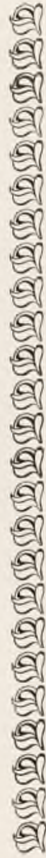
184

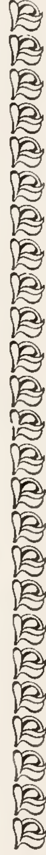
OTO MATKA TWOJA

94.



Z DRUKARNI JÓZEFA STYFIEGO W PRZEMYŚLU.





MARYAŃSKA SODALICYA KONWIKTOWA W CHYROWIE W R. 1917/18.

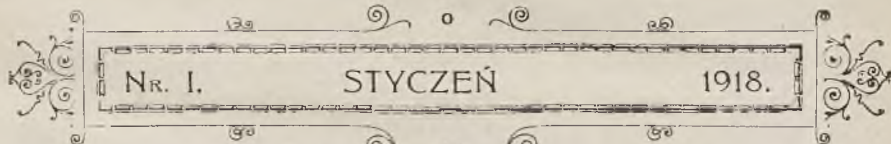


KWARTALNIK CHYROWSKI.

DEO-PATRIAE-AMICITIAE.

KORESPONDENCYA PRZYJACIELSKA W MIEJSCE RĘKOPISU.

ORGAN: KONWIKTU, SODALICYI KONWIKTOWEJ, CHYROWSKIEGO KOŁA TOW. IM. PIOTRA SKARGI ORAZ ZWIĄZKU CHYROWIAKÓW.



94

1893-1918.

Wzajemne stosunki Chyrowiaków zacieśniają się coraz bardziej. Z czasem, z latami, powstaje związek nie tylko statutowy, ale nawet rodowy, powinowactwo duchowe, ogólne pokrewieństwo przez różne koligacye, sąsiedztwa i znajomości od szkolnej i uniwersyteckiej ławy: toteż gazetka z Chyrowa stała się powoli jakby archiwum rodowem tego związku.

Jeden z chyrowskich rektorów, gdy obchodzono w Konwikcie tak zwane rektorskie imieniny, zwykł był je nazywać

„świętem Młodzieży Konwiktowej“. Otóż i obecnie, gdy nasze pisemko doczekało się dwudziestopięciolecia swego istnienia, jeszcze słuszniej można nazwać tę uroczystość świętem Chyrowiaków, świętem Przyjaźni oraz naszego rodowego archiwum.

Konwiktor, grzebiąc w tem archiwum, odnajduje w dawnej Kronice najpiękniejszy dzień swego życia, dzień pierwszej Komunii świętej lub dzień zapisania się pod sztandar Maryi i inne daty swego młodocianego życia aż do matury. Ojciec pokazuje swemu synkowi stary zeszyt gazetki, w którym o tatusiu jest wzmianka lub wyszczególnienie za dobre świadectwo, medali jakiś występ na scenie lub orkiestrze, lub nawet pokazuje, pierwszy swój wydrukowany wierszyk. Nie bez znaczenia też będą dla przyszłości listy i karty polowe z tej światowej wojny, umieszczane w zeszytach Kwartalnika.

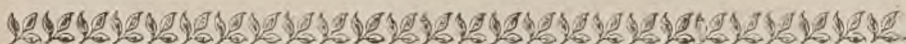
Na to święto przybyło dużo gości, wielu przyjaciół; mus więc odbyć się niby koleżeńskie zebranie, przyjacielska uczta, biesiada literacka, na którą złożyły się potrawy i przyprawy pióra właścicieli tego rodowego archiwum. Sami siebie nawzajem gościmy, więc czem chata bogata, tem rada.

W tem posiedzeniu raczyli wziąć udział i do tej biesiady łaskawie zechcieli się przyczynić dostojni Goście kościelni i świeccy, więc za ten wielki zaszczyt wyrażamy im serdeczną podziękę.

W przyjacielskiem kole do głosu wszyscy są przypuszczeni, lecz gdyby ta biesiada zbyt długo się przeciągnęła, to musielibyśmy ją przerwać, a reszcie mówców dać głos przy najbliższej okazyi, to jest w następnym zeszycie. Zanim się zacznie ta nasza pogadanka, należy wyliczyć główniejszych w ciągu tego dwudziestopięciolecia naszego pisemka współpracowników, korespondentów i kronikarzy, gdyż ich to było zasługą, że powstało to nasze szkolno-rodowe archiwum:

X. Antoniewicz Józef T. J.
Dr. Ausobsky Józef
Ś. p. Dr. Balicki Wacław
Bauman Stanisław
Dr. Bełza Witold
Ś. p. X. Beyzym Jan T. J.
Dr. Bielecki Adam
Dr. Birkenmayer Aleksander
Birkenmayer Alfred
Birkenmayer Józef
Ś. p. X. Boc Antoni T. J.
Brodnicki Alfred
Dr. Bubeniczek Franciszek
Bubeniczek Romuald
Braunek Teodor
X. Bronikowski Kazimierz

X. Bzowski Teofil T. J.
Chorzelski Bohdan
Ciechulski Stanisław
Cywiński Rafał
Czapliński Emil
Czauderna Tadeusz
X. Czencz Władysław T. J.
X. Czenczek Antoni T. J.
Czerkiewicz Stanisław
Danielewicz Karol
X. Dąbrowski Czesław O. S. B.
Deskur Jan
X. Dobiecki Alfred
Domański Zygmunt
Dziubaniuk-Wiśniewski Karol
Ś. p. Fedorowicz Stanisław
X. Fihauser Gustaw
X. Filipski Władysław
Ś. p. Fischer Władysław
Gluziński Roman
X. Hankiewicz Stanisław T. J.
Hankiewicz Stefan
Heggenberger Marceli
X. Dr. Herget Józef
X. Hrubant Józef T. J.
Ś. p. Iżycki Józef
Jakubowski Stanisław
X, Janowski Karol T. J.
X. Dr. Jełowicki Eustachy
Jełowicki Włodzimierz
Kalkstein Kazimierz
X. Karyłowski Tadeusz T. J.
X. Kohlsdorfer Maksymilian T. J.
X. Konopka Kazimierz T. J.
X. Koppens Romuald T. J.
Dr. Koppens Juliusz
Koppens Leon
Korycki Władzimierz
Inż. Kossuth Ludwik
Kozłowski Janusz
Kretkowski Bronisław
X. Krysa Jakób T. J.
Inż. Kuczyński Maryan
Kuhn Jan
Kuhl Karol
X. Kuznowicz Mieczysław T. J.
X. Kwiatkowski Franciszek T. J.
X. Lachman Adolf T. J.
Lubaczewski Jan
Lubaczewski Tadeusz
Dr. Łapiński Kazimierz
Dr. hr. Łoś Stanisław
Hr. Łubieński Tadeusz
Łubkowski Zygmunt
X. Maciątek Stanisław T. J.
Maniewski Roman
X. Marekowski Tadeusz
Markiewicz Feliks
Markiewicz Maryan
X. Matzel Ernest T. J.
X. Mayer Jan T. J.
Myszkowski Stanisław
Nartowski Zygmunt
Nawratil Witold
Inż. Neuhaus Jan
Dr. Orłowicz Mieczysław
Piasecki Józef
X. Piątkiewicz Aleksander T. J.
Plattner Fryderyk
Prągłowski Jan
Prągłowski Józef
Rohland Paweł
Rosiński Władysław
Rylski Władysław
Dr. Sabatowski Antoni
X. Sawicki Józef T. J.
Dr. Salkowski-Heer Stanisław
Schultis Stanisław
Siemaszko Józef
Skarzyński Wiesław
X. Skibniewski Maryusz T. J.
Hr. Sołtan Bohdan
Hr. Sołtan Stanisław
Dr. hr. Stadnicki Juliusz
Strutyński Tadeusz
Dr, Strzelecki Adam
Inż. Szayer Edward
Dr. Szeib Erwin
Szymanowski Eustachy
Inż Śniadowski Władysław
Świeżawski Stanisław
X. Tomczak Kazimierz
Urbańczyk Tadeusz
X. Wojtoń Władysław T. J.
Wolaniecki Franciszek
Wołoszynowski Joachim
Wołowski Tadeusz
Zaliwski Stanisław
Zawadzki Tadeusz
Ziemięcki Andrzej
Żarnowski Jerzy
Żelazowski Teofil.



Wśród fal narodów oceanem świata
Ku brzegom szczęścia, ku promiennej zorzy
Mknie też nasz — polski. I choć wichr się sroży,
Choć nim zła burza wstrząsa i pomiata,

I bieg do portu wstrzymują bałwany,
Przecież na toni znaczy jasne szlaki.
I póki lśnią mu górne boże znaki,
Nie pójdzie na dno, nie zginie strzaskany.

A one znaki, jak białe sztandary
Dobra miłości, nadziei i wiary,
Wieją też z kart twych, Chyrowska ustroni!

One dowodzą — ćwierć wieku już właśnie —
Iż świętych haseł znicz w sercach nie gaśnie..
Niech wieją, wiodą, wołające do broni!

(t).



Na połów w zbożne cele
Rzucamy naszą sieć,
Choć cierń się wokół ściele,
Wznosimy w niebo czoła:
Maryo Ty nam świeć,
Gdy ciemna noc dokoła!

Maryo! poprzez burze
Ty jasną ścieżkę wskaż!
Gdzie słońce lśni w lazurze
I serce słodycz koi:
Ku Tobie wznosim twarz,
Rycerze wierni twoi!

Rycerski huf my stary
Sodalicyjnych rzesz,
Podnosim sztandar wiary
W moc czynu, co nie ginie!
Maryo! ku nam spiesz,
Błogosław Twej drużynie!

K





J. E. X. Bp. Józef Sebastyan Pelczar

Dowiedziawszy się, że Kwartalnik Chyrowski obchodzi w tym roku swój srebrny jubileusz, pospieszam wyrazić moją radość, że to pismo wierne swojej chorągwi z napisem: Deo, Patriae, Amicitiae, starało się przez 25 lat w czytelnikach swoich. a zwłaszcza w uczniach chyrowskich, budzić czy potęgować pobożność, miłość Ojczyzny i przyjaźń świętą. Niechże i dalej tak będzie.

Niech Kwartalnik służy Bogu, a stąd krzewi gorliwość o chwałę Bożą, uległość dla woli Bożej, zachowanie sumienne wszystkich przykazań i obowiązków, ofiarność chętną dla wszystkich spraw religijnych i gorące przywiązanie do Kościoła św., jako pierwszej naszej Matki duchowej.

Niech służy Ojczyźnie, a stąd broni jej praw, strzeże duchowych jej skarbów, wskazuje prawdziwe jej ideały i rozżarza ku niej miłość, ale miłość czystą, czynną, trwałą i skorą do poświęceń. by ta druga nasza Matka duchowa, w przeszłości tak nieszczęśliwa, za łaską Bożą i modlitwą swoich synów i pracą, lepszą osiągnęła dolę i koroną królewską skroń swą ozdobiła.

Niech służy przyjaźni, a stąd szczególnie uczniów chyrowskich zbliża do siebie i łączy z sobą węzłem silnych zasad i gorących uczuć aby nie tylko sami mieli jednego ducha i jedno serce, ale pociągając

innych swoim przykładem, mnożyli Sodalicye męzkie i wzmacniali obóz katolicki.

Niech też Kwartalnik ze wszystkich stron Polski zwołuje żądną nauki młodzież i przyczynia się do rozwoju Konwiktu Chyrowskiego, aby ten Konwikt, prowadzony wzorowo przez światłych i gorliwych Mistrzów Towarzystwa Jezusowego, stał się niejako wielkim ulem duchownym, z któregoby wylatywały co rok liczne roje roboczych miododajnych pszczółek, to jest młodzieńców, podobnych duchem do Patrona swojego, św. Stanisława Kostki, miłujących wszystko, co święte, co wzniosłe, co Kościołowi i narodowi pożyteczne, przygotowanych należycie do studyów uniwersyteckich i do przyszłych swoich posterunków.

Aby się to stało, daję Szanownej Redakcyi i wszystkim czytelnikom ego pisma, a szczególniej wszystkim Mistrzom i uczniom Konwiktu Chyrowskiego, moje arcypasterskie błogosławieństwo.

Dan w Przemyślu, d. 5. listopada 1917.



P. O. Prow. X. Henryk Haduch T. J.

Po latach 25 warto rzucić okiem wstecz na działalność tego pisemka. Rzadko ono wprawdzie wychodziło w świat z murów Konwiktu Chyrowskiego, bo zaledwie kilka razy do roku, ale nie zapomniane przez nikogo, szło w daleki świat, aby swoim zanieść słowo pozdrowienia. I spełniło ono wielkie dzieło. Nić zadzierżgnięta na ławach szkolnych dzięki jemu nie zrywa się, ale potężnieje, ale przerasta w zespół społeczny, łącząc już nie tylko tych, którzy koło siebie na ławach szkolnych siedzieli, ale pokolenie z pokoleniem, ojca rodziny z własnym jego synem, obywatela czy żołnierza z kapłanem czy zakonnikiem, a na to, aby wspólną siłą organizacyi iść w służbę Bogu i Ojczyźnie.

Mimo woli staje przed oczyma Konwikt i życie.

Zrywa się młody i szlachetny rumak i gryzie wędzidło, które krępuje szaleństwo jego ruchów i układa go w potęgę karności i w ład porządnego działania, ale tak ułożony, niesie sprawnie na swoim grzbiecie rycerza na bój chwalebny, w porządnym szyku bojowym...

Kiedy minie krasna wiosna życia; kiedy liść po liściu złud młodociany opadać zacznie, a twarda rzeczywistość domagać się będzie praw swoich; kiedy burza życia rzuci kimś bezlitośnie nad przepaść... o wówczas

znajdzie się coś w sercu, co zatrzyma nad brzegiem przepaści, znajdzie się coś, czego wśród rozhukanych fal bezpiecznie chwycić się można... I błosławi się tych żeglarzy, którzy widząc dalej, niż to młodość potrafi, dali jej mocny ster w rękę; błogosławi się tych siewców, którzy nieraz mimo oporu, siali w pocie czoła zdrowe ziarna zasad na zagon życia; tak błogosławi się te gwiazdy i słońca, które choć zaszły czarnemi chmurami- oświeciły jednak zabłąkanym ścieżkę prawą życia.

Wielką jest idea koleżeństwa. Ona wiecznie młoda, i młodymi czyn tych, którzy jej słodkim węzłem powiązali dusze, choćby ich skroń przyprószył szron starości. A cóż dopiero, jeśli w tym szlachetnym związku dusz tkwią takie klejnoty, których blask rozświeca niebo i opromienia ziemię: Deo, Patriae, Amicitiae!

Takiej to wielkiej idei służy wiernie już ćwierć wieku Kwartalnik Chyrowski. Idzie on niestrudzony od tych ławek szkolnych na szeroki świat; idzie tam, gdzie biją koleżeńskie serca; idzie oczekiwany z tęsknotą, witany z radością, aby pogwarzyć o dawnych i o świeżych dziejach zanieść słowo pozdrowienia, powiedzieć coś o starych przyjaciołach, ponieść myśl i serce ku wartkim falom życia.



A kiedy ciemno dokoła, kiedy zda się, że samo piekło uwzięło się na to, aby nam jeszcze bardziej zacieśnić obroże na szyi, kiedy duch słabnie, a z rąk zaczyna wypadać oręż zwycięski, podnosi on wzrok ku górze i mówi: nie wątpcie! Jest Bóg, który ożywia narody, jest w pośród was Ta, na której skroniach lśni polska Korona, Marya, a wy jej drogiem dziedzictwem!

A więc mu na tej wiernej służbie błogosławić; więc mu na dalszą drogę życzyć: idź śmiało, a wnet się odziej w szaty wesela i powiedz druhom: Żeście byli wierni Bogu, Ojczyźnie i Przyjaźni: wolni jesteście.

Ale jest jeszcze jeden ważny postulat, którego Kwartalnik jest orędownikiem. Oto potęga zrzeszenia katolickiego! Związek Chyrowiaków jest takiem zdrowem ziarnem. Na siłę zbiorową rozkładu i nienawiści trzeba nam siły zbiorowej porządku i miłości. Napróżno rozglądamy się po szerokich łanach naszej Ojczyzny za tymi, co mając dobrą wolę, podaliby sobie ręce do wspólnej pracy... Idą kadry potężne wrogów, które wypisały na sztandarach swoich: precz z Bogiem i z Kościołem! i zagarniają tych, którzyby z własnej woli nie chcieli tam być; a reszta rozprószona, rozbita, błąka się w pojedynkę.

Chyrowiacy! Jedna was Matka wychowała, jedną wam pieśń przy kolebce śpiewano, jednemi jesteście ożywieni zasadami, jedne wam świecą ideały życia! — Niech wasz Związek stanie się środkiem organizacy

katolickich, niech będzie obudzeniem siły społecznej Narodu, niech się stanie podniesieniem moralnem społeczeństwa, abyście tu budując Ojczyznę od wewnątrz, stali się strojem w rozstroju i środkiem jej pełnego odrodzenia.

Jak dziś stoi mi przed oczyma dzień ten, w którym nam, malcom, przybranym w granatowe mundurki, rozdzielono pierwszy zeszycik „Chyrowskiej Gazetki“. Skromny to był zeszycik, skromna i treść jego.

A oto 25 lat, ćwierć wieku, minęło i zeszycik w zeszyt się zmienił treści bogatej a zdrowej, przeniknął w najdalsze zakątki świata na służbie koleżeńskiej przyjaźni, stał się łącznikiem jej; a jak jest zawsze mile przez swych czytelników witany, wystarczy rzucić okiem na dział „korespondencyi przyjacielskiej“.

Bo ten Kwartalnik jest nasz w całem tego słowa znaczeniu, do nas byłych i obecnych Chyrowiaków należy, bo zrósł się z nami w całość jednolitą, z nami się cieszy i z nami płacze, bo żyje on życiem naszem... Im dalej to życie naprzód się posuwa, im dalej nieubłagalnie lata lecą, tem milej, tem serdeczniej bywa on witany i przyjmowany i czytany. Powiedzmy prawdę: w życiu każdego z nas bywały i chwile, gdy z obojętnością, ba! może ze wzruszeniem ramion i ironicznym uśmiechem się spotykał. Lecz chyba nigdy się nie zdarzyło, by mimo to od deski do deski nie był przeczytany, choćby dalszem jego przeznaczeniem było nie troskliwe przechowanie, lecz rzucenie do kosza lub w piec...

A on, niezrażony i takiem przyjęciem, cisnął się dalej i dalej między szeregi tych, dla których został powołany do życia i którym służyć wiernie wziął sobie za cel i zadanie. Cisnął się skromnie, lecz z całą pewnością siebie, bo wiedział, że z czasem zwycięży, że zwyciężyć musi.

I dziś, gdy większość nas już nie granatowy ze złotymi galonami mundurek, lecz skromny szary mundur polowy okrywa, a na skroniach srebrne nici przebłyskiwać zaczynają, dziś dopiero widzimy całą wartość jego i cel jego w całej pełni cenić umiemy. Żarliwość, z jaką go dziś czytamy, równa się chyba uczuciu, z jakiem się czyta listy najbliższej, a dawno nie widzianej rodziny...

Więc w dniu srebrnego jubileuszu ślę na ręce Kochanego O. Redaktora imieniem własnem i Związku b. Chyrowiaków życzenia, by Kwartalnik nasz złotych i dyamentowych godów doczekał, by stał dalej, jak i dzisiaj, na straży swej wzniosłej dewizy, niezrażony niczem, niezłomny w swych zasadach i cieszył się nadal tem uznaniem, z jakiem się dziś spotyka u wszystkich Chyrowiaków, którym koleżeńska łączność i przyjaźń droga.

Ad multos annos!

Stanisław Jakubowski.

W tej rocznicy biorą serdeczny współudział wszyscy byli Chyrowiacy, dla których Kwartalnik był nietylko miłą lekturą, ale serdecznym łącznikiem z dawnymi Profesorami, Kolegami i ukochanymi murami naszego Konwiktu. Kwartalnik to sprawił, że myśl nasza często zwracała się do owych najmilszych w życiu czasów wczesnej młodości, która — jak słusznie powiedział poeta — „jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały". Odświeżaliśmy się, czytując gazetkę, wspomnieniami ubiegłych lat, a serdeczny stosunek, jaki się zawiązał pomiędzy Redakcyą a czytelnikami, przyniósł pożądany owoc, jest nim Związek b. Chyrowiaków, łączący poza murami Konwiktu byłych jego wychowanków serdecznym i braterskim węzłem. Jeżeli ten węzeł dał się zadzierzgnąć, jeżeli byli Chyrowiacy, pomimo różnicy wieku i zawodu, poczuli się braćmi i nadal tworzą jedną, choć rozrzuconą po świecie rodzinę, to jest jedyną i wyłączną zasługą naszego Kwartalnika. On połączył siłą dawnych wspomnień starych i młodych Chyrowiaków, on przynosi jasne wspomnienia minionych młodocianych lat i często rozchmurza czoło starego, stroskanego i zmęczonego walką o byt Chyrowiaka, ojca rodziny, sprowadzając na jego usta uśmiech, dawno niewidziany, to żywe wspomnienia młodości, jej pracy i figlów.

Owocna praca Kwartalnika sprawiła, że ten jubileusz budzi w nas obecnie uczucia radości i dumy, a serca nasze uderzają zgodnie prawdziwą wdzięcznością dla założyciela gazetki O. W. Czencza, dla następców jego i współpracowników i całego ruchu Chyrowskiego.

Niechże więc ta iskra braterskich uczuć, którą rozdmuchała w sercach naszych gazetka w ognisko, już nigdy nie zgaśnie, ale dla dobra wspólnego silniejszym jeszcze wybuchnie płomieniem, któryby zagrzać potrafił i złączyć z nami tych także Kolegów, którzy dotąd do Związku nie należą.

Koło Krakowskie łączy się całem sercem z Wami i zasyła Drogiemu Ojcu i jego pomocnikom jak najszczersze życzenia dalszej owocnej pracy. W nadziei, że najbliższa działalność Kwartalnika będzie już w wolnej i zjednoczonej naszej Ojczyźnie, zasyłamy tej pracy staropolskie „Szczęść Boże!"

Romuald Niedźwiedzki.

Lat temu 25 dziwny, a przedtem jeszcze nigdy niewidywany gość przerwał powszednią szarzyznę konwiktowego życia. Oto zjawiła się mała gazetka „Z Chyrowa". W formie lekkiej i ujmującej zaczęła konwiktorów rozweselać, mówiąc ze serca i od serca do serca. I trafiła zaraz do serca. Rozruszała wszystkich, była prawdziwem „zjawiskiem dnia", niecierpliwie oczekiwanem.

Głosząc szczytne hasła „Deo, Patriae et Amicitiae", jako organ

Sodalicyi Maryańskiej i Konwiktu, stała się wogóle łącznikiem między konwiktorami i b. Chyrowiakami a Zakładem. Ciekawe to pismo! Pisywali i pisują doń ludzie, należący do 2 i 3 różnych pokoleń, opartych o te same zasady, a podobne przejścia młodego i szkolnego wspólnego pożycia.

Ile to wybitnych nazwisk, wspaniałych i podniosłych zdań zamieściła Gazetka Chyrowska w ciągu tego 25-lecia! Niejednokrotnie była pociechą i światłem dla stroskanych i zrozpaczonych swych wychowanków. W tem leżała dziwna jej atrakcya, że ciągle przypominała młodość i jej ideały, życie dawne, lepsze i czyste. Skromna i uboga jej szata zewnętrzna, niby habit prosty i treść niewiele mówiąca dla innych przyciągały zwłaszcza b. Chyrowiaków. Dla młodszych bowiem konwiktorów urok jej z czasem prysnął; poza „kroniką konwiktu“ i odnalezieniem nieraz w niej swego nazwiska, poza „humorystyką“ nie rozumieli zwykle jeszcze jej doniosłości. Często z odruchem zniechęcenia lub nudy odkładali ją nieczytaną. Potem jednak, nieraz już po zrzuceniu mundurka, tem więcej żałowali tego, oceniając jej wartość i przyjaźń.— Starszacy, szczególnie zaś b. konwiktorzy, za to odrazu poznali się na tym przybyszu i przyjęli go z otwartemi ramionami i szczerą radością. Czy w biurze, czy w rowach strzeleckich, czy w domowem zaciszu, pochłaniano wprost jej wiadomości. A nigdy nie sprawiała przesytu!

Ona przygotowała 25 letni jubileusz Zakładu i powstanie Związku Chyrowiaków, utrzymuje i rozwija Koła i ich Centralę łączy z oddzielnemi cegiełkami dawnego konwiktowego życia. Zwłaszcza w czasie wojny obecnej była nieraz jedynym informatorem o kolegach. Ciekawe i rzadkie szczegóły przejść wojennych zamieściła w tak imponującej ilości, jak chyba żadne inne pismo. Nic dziwnego, że czytelnicy i spółpracownicy jej to przeważnie ludzie z wyższem wykształceniem o podobnej na ogół oryentacyi życiowej. Ona też warunkuje byt i rozwój Związku Chyrowiaków, popieranie jego celów i ideałów. Służyła zawsze wiernie swojemu sztandarowi, choć brakło jej nieraz pomocy materyalnej i moralnej jej bliższych i dalszych zwolenników, którzy może czasem nie uświadamiali sobie tych trudności i przeszkód, jakie musiała pokonywać. zwłaszcza w czasach wojny światowej i jej drożyzny papieru i wzrostu cen druku. Zdala od manowców modnych nowostek pseudopostępu, zdala od moczarów drażliwości kwestyi nieustalonych, parła naprzód całą siłą wiary i ufności, jakiemi tylko szlachetne dusze natchnąć potrafią każdą swoją pracę.

Wśród istnej powodzi broszur i ulotnych pism stanowi oryginalny i charakterystyczny dokument chwili wszystkich części świata i stosunków. Całość, obejmująca 5 pokaźnych tomów (i 93 numerów), jest rodzajem wypisów i odbiciem czasu. Wśród tego, co jątrzy i rozdziela, „Gazetka“ koi i leczy, zbłąkanych włącza wspaniałomyślnie do wspólnego koła myśli i uczuć. Zaprawia do odwagi cywilnej i zabierania głosu publicznie. Swobodna wymiana zdań i wrażeń ułatwia przygoto-

wanie do życia praktycznego i przyszłego zawodu, zachęca lub odstręcza od pewnych zajęć i środowisk niekorzystnych finansowo czy etycznie, wogóle odgrywa rolę doradcy i opiekuna, strzeże, prostuje, zachęca, karci, podnosi, przestrzega, wskazuje wyżyny ducha i praktyczne do nich środki. Dla konwiktorów posiadają bezcenną wartość te informacye i rady b. Chyrowiaków, zdobyte nieraz kosztem wielkich trudów i pieniędzy, a dotyczące warunków bytu, widoków otrzymania pracy i jej wynagrodzenia. Do tegośmy wszystkiego tak przywykli, iż na ogół uchodzi to naszej uwagi, choć z tego mniej lub więcej korzystamy w przekonaniu, że tak być musi, bo to rozumie się samo przez się. A jednak gdzie wychowankowie mają taką stałą bezpłatną pomoc i przyjacielską radę we wszystkich dziedzinach życia, miłą a urozmaiconą lekturę, nawiązującą do wspomnień szkolnych czasów?...

Nie są to puste i okolicznościowe słowa zachwytu i pochwały. Czyż wymownie nie świadczą o tem podziękowania, które, jak pyłki kwiatowe w dzień letni, sypią się bez liczby po każdem ukazaniu się nowego zeszytu „Gazetki", która doszedłszy do wieku dojrzałego, spoważniała i zmieniła swoje nazwisko na „Kwartalnik Chyrowski", bo stała się też organem Związku Chyrowiaków, a z czasem przyjęła, jako dziecię, w swą opiekę lokalne Koło Tow. P. Skargi.

Czyż nie potwierdzają tego szczere pochwały ludzi obcych całkiem którym czasem jakiś ex-Chyrowiak pożyczy Kwartalnika do przeczytania? Tak powstają dalsi „sympatycy". Znajomym moim pożyczyłem swego czasu kilku zeszytów Kwartalnika. Skutek tego był taki, że przy każdem spotkaniu natarczywie wprost dopytują się, czy już nie wyszedł nowy numer, albo kiedy wyjdzie.

Przy sposobności 25 letniego jubileuszu Gazetki zasyłam W. Ojcu Redaktorowi imieniem Koła Lwowskiego najserdeczniejsze podziękowanie za niestrudzoną 15-letnią, pełną zasług cichych i nieznanych pracę w redakcyi oraz życzenia dalszego jak najświetniejszego rozwoju naszego organu i celów, które on propaguje.

Dr. Stanisław Salkowski.

Przesyłam Gazetce garść moich szkolnych wspomnień, lecz bezimiennie, gdyż choć maturę zdałem już dawno, zbyt stary jeszcze nie jestem, a gdyby żona przeczytała, to co napiszę (gdyż ona zawsze wcześniej, niż ja, musi gazetkę przeczytać), to mogłoby między nami dojść do jakichś nieporozumień. Otóż z moich szkolnych profesorów najbardziej lubiałem lekcye O. Nuckowskiego, bo można było na nich wiele myśleć, a mało się bać. Rzeczywiście zarówno na jego wykładach przyrodniczych, jak na filozoficznych, słuchałem zawsze z wielkiem zaciekawieniem i sądziłem, że po maturze oddam się jedynie

i wyłącznie nauce. I takby się pewno stało, gdyby nie żona, ale o tem potem. Prefektem dywizyjnym moim najdłużej był X. Stafiej i tak się do tego przyzwyczaiłem, że sobie nie mogę wyobrazić Konwiktu bez niego. Ś. p. O. Stefańskiego bałem się bardzo, ale go szanowałem, dziwnie bowiem wydawał mi się prawym i szlachetnym człowiekiem, pedagogiem stworzonym i wymagającym, ale mimo to przy zabawach i kierowaniu sceną niezmiernie wesołym i rozumiejącym duszę młodzieży. X. Koppensowi jestem wdzięczny na całe życie, że nas zapoznał znakomicie z arcydziełami polskiej literatury i muszę wyznać, że chodząc potem na wykłady uniwersyteckie niewiele się już więcej dowiedziałem. Że Ojca Fizia wszyscyśmy ogromnie kochali, to rzecz jasna, więc niema co o tem nawet wspominać.

W szkole prócz nauczycieli miewamy i kolegów: lepszych, średnich i gorszych, ale ta klasyfikacya bardzo się z wiekiem zmienia i nie raz sąd, wydany w klasie IV. ulega zupełnej zmianie w klasie VI. lub VIII., a potem po maturze jeszcze bywa nowa klasyfikacya, gdy z innego punktu patrzymy na siebie i na ludzi. Okoliczności tąk się złożyły, że ja obecnie żyję najbliżej z chyrowskimi kolegami trzema, z którymi w Konwikcie prawie bardzo mało żyłem, ale poznałem ich piękne dusze i charaktery dopiero obecnie. Największy mój przyjaciel z Konwiktu to taki obecnie pan, że zaledwie raczy się ukłonić, gdy się gdzieś spotkamy przypadkowo. Piszę to, aby prawdzie zajrzeć w oczy, bo to jest zawsze pożyteczne dla wszystkich. Co jednak dziwniejsza, że spotykałem Chyrowiaków, z którymi OO. rady sobie dać nie mogli i którzy w Konwikcie należeli do lewicy i oponentów przeciw władzy, obecnie zaś o Chyrowie wyrażają się z największem uznaniem i przywiązaniem.

Nie zostałem uczonym teoretykiem, nie poświęciłem się nauce, o czem na lekcyach O. Nuckowskiego marzyłem, dlaczego? Ot prosta historya. Poznałem moją obecną żonę, (zacną osobę — wszystkim Chyrowiakom takiej życzę), a jej ojciec powiedział, że na zaręczyny pozwoli dopiero, jak skończę kurs handlówki i odbędę roczną praktykę rolniczą we wzorowym majątku. Moja więc obecna żona była przyczyną, że musiałem porzucić filozofowanie, a zacząć pilnować podoju mleka, uczyć się orać i siać i rachować. Tego wszystkiego nie żałuję obecnie, bo choć jestem rolnikiem bardzo praktycznym, umiem znaleźć rozrywkę i odpoczynek i pokarm w książce poważnej, w literaturze i historycznych dziełach, a w tem wszystkiem mam dobrego towarzysza w mojej żonie, Sodalisce z Jarosławia.

Bywały i w życiu mojem chwiejne lata, wątpliwości różne dręczyły duszę, jak wiatry i burze, wyznam jednak, że medala Maryi nigdy nie zdjąłem, Sakramentów św. nigdy nie zaniedbywałem, skarbu największego, wiary św. (dopiero teraz tak oceniam), dochowałem. Zawdzięczam to wszystko Chyrowowi.

Aby jednak i te wspomnienia zakończyło „To i owo“, muszę

opowiedzieć następujący wypadek szkolny: Jak ptaszek przed jastrzębiem schroniłem się raz przed grecką powtórką do znanej wszystkim Poligłówki. Wracam do szkoły po dziesiątej, a tu właśnie dowiaduję się, że Ojciec „grecki" przemienił godziny z Ojcem „matematycznym" i na pierwszy ogień wywołuje mnie. Koledzy, chcąc mnie ratować, podają autora z brykiem, ale tak niezgrabnie, że bryk na środek klasy wypada ku wielkiemu zdziwieniu i oburzeniu Ojca.

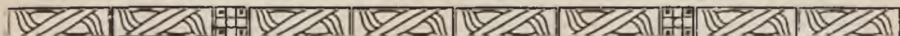
Niedoszły filozof,

Korzystając ze sposobności, zabieram głos w sprawie, która mojem zdaniem, opartem na licznych spostrzeżeniach, jest dla nas bardzo ważną; jest nią sprawa uniwersyteckich nauk, a zwłaszcza prawa. Zmarnowało się już wielu ludzi, — wiele czasu i zdolności, a przyczyną tego główną stan tak zwanych akademików, zapisanych na prawa. Próżnuje taki pan zupełnie dwa lata, nic się nie ucząc, zapomina to, co umiał po maturze, a do egzaminu niby to się wciąż zabiera, kupuje skrypta, a mimo to nic nie zdaje i mija rok trzeci, a czasem i czwarty, okres najświeższych sił do pracy umysłowej, a kandydat albo padł, albo nawet nie próbował zdawać. Czyż nie lepiejby było nawet nie zapisywać się na uniwersytet, ale odrazu wstąpić na handlówkę lub udać się na praktykę gospodarczą lub wreszcie do jakiejś pracy, czy fabryki, czy handlu, niż bawić się w tego rodzaju akademika, który niczego się nie nauczy, darmo chleb rodziców zjada, bawi się w panicza salonowego, a choćby nawet w działacza w różnych stowarzyszeniach, któreby i bez niego zupełnie się obeszły. W obecnej wojnie jeszcze jaskrawiej wystąpi smutny los takich żelaznych akademików, dla których sytuacya tak się przedstawia, że od matury minęło 7, 8 a może i więcej lat, a oni nic nie umieją, żadnej pracy nie mogą się podjąć, będą musieli zaczynać od najniższej praktyki w każdym zawodzie, a oby tylko zaczęli.

Jeśli już ze starszymi nie damy sobie rady, niechże młodsze pokolenie wcześniej myśli, obiera rodzaj studyów zaraz po maturze, bez błąkania się po różnych wydziałach, a przedewszystkiem niech się odrazu zabierze do pracy. Trzy miesiące wakacyi po maturze zupełnie na odpoczynek wystarczyć powinno. Jeśli już ktoś koniecznie zapisać się musi na prawa, niech wbrew zwyczajowi i przesądom na wykłady chodzi, a także niech kończy handlówkę, to przynajmniej nie odwyknie od nauki, a pierwszy egzamin zda w swoim czasie. Możliwe, że po wojnie nastąpią różne braki i luki w innych zawodach, nastąpi zmiana stosunków pod każdym względem, jednak to pewna, że ludzi wytrwałej pracy, sumiennych robotników będzie zawsze potrzeba. Uniwersytet jest uczelnią pracy, ale tylko naukowej, teoretycznej, właściwej pracy

uczymy się przy warsztatach, w kopalniach, szpitalach, biurach, handlach, bankach, w fabrykach lub za pługiem. Trzeba się spieszyć, abyśmy mieli największą liczbę uzdolnionych pracowników dla odbudowy Ojczyzny, której skarb jest w najgorszym stanie. Jedna konieczność jest wspólną dla nas wszystkich: abyśmy wszyscy byli uczciwymi ludźmi oraz zdolnymi i wydatnie pracującymi w swoim zawodzie robotnikami.

Dr. Józef Ausobsky.



Dr. Roman Jamrógiewicz, prof. z Krakowa.

Kwartalnik Chyrowski jest organem Związku Chyrowiaków, t. j. byłych i obecnych uczniów zakładu chyrowskiego, a celem jego ułatwienie utrzymania wzajemnego ich pożycia, łączności, jedności. Chyrowiakiem nie jestem, nie mogę więc pochlubić się znajomością wszystkich tajników „życia chyrowskiego", obcą mi będzie niejedna nić, łącząca członków tej społeczności ze sobą; ale też może i dlatego, że nie jestem Chyrowiakiem, bezstronniej niejedno ocenię. Korzystając więc z łaskawego zezwolenia X. Redaktora, pozwalam sobie przemówić na łamach pisemka tego i do pewnego stopnia wkupić się tym sposobem w towarzystwo.

Nie tu miejsce i pora przeprowadzać porównanie między wychowaniem szkół świeckich a szkół, utrzymywanych przez księży, między wychowaniem domowem a wychowaniem w internacie. Zajęłoby to zbyt wiele miejsca i wymagałoby przestudyowania całej prawie historyi wychowania. W dodatku trzebaby jeszcze uwzględnić szczegóły w myśl zasady: „duo si faciunt idem, non est idem". Nie myślę więc rozstrząsać tej sprawy od podstaw, — jeżeli zaś o niej kilka uwag luźnych napisać pragnę, to czynię to w tym celu, aby zwrócić uwagę na to, co mojem zdaniem, jako rzecz dobra, powinno być nie tylko umocnionem i umacnianem, ale nawet z największą troskliwością pielęgnowanem.

Wiadomo powszechnie, że każde dzieło ludzkie ma swoje dobre i złe strony, ale też wiemy, że każde zawisłem jest od jego wykonawców. Tak też się ma sprawa i z wychowaniem. Niewątpliwie, że ideałem środowiska, wśród którego młodzież winna się wychowywać, jest rodzina, myliłby się jednakże ten, ktoby w wychowaniu rodzinnem, choćby najidealniejszem, chciał widzieć same tylko zalety, a przeciwstawiał mu wychowanie internatowo-koszarowe. Dwa momenty odgrywają w tem zestawieniu główną rolę: znajomość sztuki wychowania i ciepło wychowania. Jeżeli pierwszego niezawsze dość widzimy w rodzinach, to drugie bardzo często jest obce internatom. Jakże ma się sprawa w Chyrowie?

Ktokolwiek choćby pobieżnie przejrzał kartki Kwartalnika, tego uwadze nie mogły ujść przeliczne dowody wielkiej miłości i przywiązania, z jakiem odnoszą się dawni wychowankowie Zakładu Chyrowskiego do swoich Wychowawców. A jeśli się zna młodzież, to nie można nie wiedzieć, że młodzież ta miłością płaci za miłość, a nigdy odwrotnie. I w tem leży jądro sprawy. Głównym warunkiem powodzenia pracy wychowawczej jest miłość młodego pokolenia. Jak żelaza na zimno nikt nie urobi, tak też i młode charaktery tylko w ogniu miłości można urabiać. I jeżeli nie powinno tej miłości braknąć u pedagogów świeckich, o ileż większą rolę może i winna ona odgrywać tam, gdzie młodzież przez większą część roku nie ma równoważnika w rodzinie, gdzie szkoła musi jej tę rodzinę zastąpić. I jestem przekonany, że gdyby było inaczej, zakład taki, jak Chyrowski, nie ostałby się długo, a w każdym razie nie mógłby się rozwijać tak, jak się rozwija.

Jakiż tego eventus?

Całymi dniami i miesiącami żyjąc wspólnie, może młodzież silniejsze węzły koleżeńskości zadzierzgnąć między sobą, niż młodzież innych zakładów; całymi miesiącami obcując ze swymi Wychowawcami, może lepiej ich poznać, a mając z natury wielki zmysł naśladownictwa, może skuteczniej wchodzić w ich ślady. Co więcej: gdy w jednem środowisku tyle setek indywidualności urabia się i w jednych i tych samych zasadach wzrasta, powinno życie społeczne odczuć tę jednolitość — z Chyrowa winny wychodzić kadry wyćwiczone, zjednoczone, karne, zogniskowane w walce o prawdę i w obronie prawdy w jednym kierunku dążące. I jeżeli fakt ten nie byłby w żadnych warunkach drobnostką, o ile ważniejszym jest w czasach obecnych. Dlaczego? Przedewszystkiem wojna, aczkolwiek wiele dobrego zdziałała, poczyniła szkód wiele: rozluźniła niejedne węzły, zniszczyła lub nadpsuła niejedną tamę. Już dzisiaj słyszymy powszechne skargi na upadek obyczajności, a głównie na wielki zanik uczciwości we wzajemnych stosunkach ludzi ze sobą. Dźwignąć tę uczciwość, a zwłaszcza przywrócić uczciwe imię handlowi i uwolnić ludność od wyzysku, to praca niełatwa, podjąć się jej musi pewna część społeczeństwa, karnie zorganizowana, na różnych stanowiskach społeczeństwa będąca. Jeżeli więc pracę w tym kierunku będą musiały przeprowadzić wszystkie państwa, o ileż ważniejszą i potrzebną będzie ona w państwie naszem, polskiem! Jak bowiem wszędzie, tak i tu: łatwiej budować, niż przebudowywać, łatwiej zapobiegać chorobie, niż ją leczyć. Jeżeli tedy w państwie polskiem mają do steru i wpływu przyjść żywioły jakieś, to nigdy te, których hasłem nienawiść, lecz raczej i tylko te, których hasłem miłość, a więc: szczere i prawdziwie katolickie. Do rządów jednak dojść można jedną tylko drogą: drogą solidarności i tu Związek Chyrowiaków ma przed sobą tak piękną i owocną drogę, że ani na chwilę zastanawiać się lub wahać nie powinien.

Do tych względów dołącza się jeszcze jeden — działalność wszystkich prawie katolików cechują pewne właściwości, obce działalności stronnictw, grupujących się pod innymi sztandarami. Do właściwości tych należą: 1. pewna nieśmiałość w postępowaniu, chęć pozostawania w cieniu, niechęć wysuwania się na plan pierwszy. Nazwałbym to może nie tyle brakiem cywilnej odwagi, jak raczej źle pojętą skromnością. 2. Drugą zaś wadą organizacyi jest zbyt słabe akcentowanie czynu w stosunku do praktyk tak, że bardzo często spotykają się z zarzutem przelewania z pustego w próżne. Otóż mojem przekonaniem jest przeświadczenie, że można wszystko pogodzić. Wszak nie ten, co woła „Panie, Panie, ale ten, kto czyni wolę Ojca wejdzie do królestwa niebieskiego", a więc w czyn, więc w bój iść nam trzeba zawsze; powtóre: jeżeli tylko gwałtownicy zdobywają niebo, to i świata bez walki nie zdobędzie nikt. A jako w walce lżej jest pracować i łatwiej, gdy się widzi i czuje obok towarzyszy, którzy i wesprzeć w danej chwili i pomódz zawsze są gotowi, tak też i w walce życiowej.

To są powody, dla których sam fakt istnienia Związku Chyrowiaków tak wielką napełnił mnie radością Nie o to chodzi, że ja się tem cieszę, bo to rzecz bez znaczenia, ale o to, że tak jak ja, tak cały szereg ludzi odczuwa potrzebę i dobre strony podobnych związków. Dlaczego? Całe zastępy pracowników wyćwiczonych w jednej i tej samej szkole, jednym duchem owianych, w tym samym kierunku zdążających, są tą jednością silni — tem więcej, że ożywia ich duch karności, solidarności, a łączy miedzy innymi i koleżeńskość. I podczas gdy inni szukać dopiero muszą szeregów, do którychby wejść mogli, lub muszą dopiero tworzyć takowe, Chyrowiacy odrazu występują w szeregach i nie są narażeni na złe skutki, trudy i niebezpieczeństwa walki w pojedynkę. Powtóre te zastępy Chyrowiaków obejmują szeregami swymi najrozmaitsze posterunki w społeczeństwie i dziedziny pracy, mogą więc walcząc na całym froncie, uczynić swą pracę skuteczniejszą i bardziej owocną. Wreszcie w skład Związku wchodzą różne wiekiem generacye, można więc mieć i ciągłość pracy. A podczas gdy stowarzyszenia inne lub wogóle zrzeszenia stoją głównie przewodniczącymi, bo w ich ręku inicyatywa i ostoja towarzystwa, to Związek Chyrowiaków ma jeszcze to bene, że ostoję i pokrzepienie ma w Zakładzie, z którego wyszedł, ma w jego Kierownikach zawsze tę samą życzliwą miłością owianą pomoc i podporę.

Oto są moje życzenia dla Związku. A gdy rozmyślam tak nad stosunkiem Zakładu do jego wychowanków, gdy widzę to ich wzajemne przywiązanie i miłość, mimowoli cisną się na usta słowa:

„Ich sei — gewährt mir die Bitte —
In euerem Bunde der Dritte".



KLASA VIII. Z ROKU 1908.

Widząc zbliżający się koniec mej teologii w Anglii, postanowiłem poczynić jakie kroki co do mego powrotu. Nie rokowano mi wielkich nadziei. Ja jednak, będąc na N. Serce P. Jezusa w Londynie w polskim kościele, aby dać rodakom trzydniówkę, skorzystałem z tej sposobności i wstąpiłem do p. Ministra szwedzkiego; on to bowiem ma pieczę nad poddanymi austryackimi od chwili wojny amerykańskiej. Przyjął mię bardzo uprzejmie, a gdym mu wyłożył, że chciałbym wrócić do Galicyi, że jestem wprawdzie w wieku wojskowym, ale jako kapłan nie będę wzięty pod broń w Austryi, — powiedział mi zaraz: Sądzę, że rząd angielski nie będzie robił trudności; proszę napisać do Swedish Legation, Austro-Hungarian Division, a sprawa ta wnet będzie załatwiona. Wróciwszy do Hastings, opowiedziałem czterem Ojcom węgierskim, którzy byli tam ze mną na studyach, jak szczęśliwy dał P. Bóg początek. Ucieszeni piszemy do szwedzkiej Legacyi; w odpowiedzi żądają od nas papierów, stwierdzających poddaństwo austro-węgierskie oraz święcenia kapłańskie, a nadto datę powrotu, gdyż to wszystko ma być przedłożone ministerstwu spraw wewnętrznych. Dnia 14. sierpnia otrzymaliśmy telegram: Pozwolenia są; proszę przyjeżdżać jak najprędzej. Ponieważ byliśmy gotowi do drogi, wyjechaliśmy w piątkę do Londynu, gdzie szczegółami wyjazdu zajęła się z nadzwyczajnem poświęceniem pani Marcus, Austryaczka, pracująca w Austro-Hungarian Emergency Commitee. Ona to chodziła na policyę i do Home Office, by ułatwić i przyspieszyć nasz wyjazd.

Toteż już 18. sierpnia wczesnym rankiem wyjechaliśmy ze stacyi, Cannon Street pociągiem do Gravesend, brzegiem Tamizy. W Gravesend wzięli żołnierze nasze walizy i pakunki jadących znami coś 20 Niemców (starców, kobiet i dzieci), wymienianych za Anglików, internowanych w Niemczech, i zawieźli je na komorę celną w porcie. Tam wprowa-

dzali żołnierze każdego z osobna do badania. W pierwszej sali stanąłem przed komisyą; zapytano mię o imię, nazwisko, od jak dawna w Anglii, dlaczego teraz chcę wyjeżdżać, czy mam ze sobą jakie listy. W drugiej sali znalazłem się sam na sam ze szpiclem, który kazał sobie pokazać papiery, pugilares, brewiarz (innym nawet sam do kieszeni zaglądał); zabrał do osobnego woreczka papiery i brewiarz i wypuścił mię. W trzeciej sali żołnierz otwierał w mej obecności me pakunki, przeprowadził gruntowną rewizyę, wyrzucił na ziemię nawet biały papier, w który owinąłem me rzeczy; ułożył wszystko na nowo i zamknął. W czwartej sali siedziała złożona komisya wojskowo-cywilna. Przewodniczący, młody oficer wysypał z worka moje papiery i brewiarz i zapytał: Dies alles wollen Sie nach Deutschland hinschleppen? Ja mu na to: Wszak ja jestem Polakiem z Galicyi. — To dlaczegóż chce Ksiądz wracać? — Bo skończyłem studya. — Ale Ksiądz wróci bez tych rzeczy. — Ja bez tych rzeczy wracać nie mogę; mam tu papiery, stwierdzające tożsamość mej osoby, bez nich nigdzie się nie dostanę. — To proszę je wybrać. — Wyciągam tedy metrykę, świadectwo święceń kapłańskich, świadectwo maturyczne z Chyrowa; on bierze to ostatnie do rąk swych i czyta z dobrym akcentem: Gimnazyum OO. Jezuitów w Bąkowicach pod Chyrowem. Myślę sobie: toś ty ćwik! Wybrane przeze mnie papiery pokazuje swemu sąsiadowi a ten daje znak, że można mi je oddać. — A brewiarz! upominam się; wszak ja muszę go odmawiać codzień; wszak nie będę zań płacił na nowo z jakie 70 franków. — Żal mi bardzo, odpowiada oficer, ale nam zabroniono przepuszczania jakichkolwiek książek. Proszę napisać, dokąd je odesłać, a po wojnie będzie je mógł Ksiądz otrzymać.

Około g. 11. rano byliśmy już na naszym małym okręciku „Staveley“ (1014 ton), który ruszył Tamizą, a potem morzem Północnem wśród cudnego dnia, trzymając się ciągle blizko brzegów angielskich. Około g. 5. wieczorem zarzucono kotwicę; obok nas zebrało się 14 okrętów, niektóre z armatkami dla obrony i czekaliśmy tak gdzieś do g. 7. Wtedy zjawiło się 10 kontrtorpedowców angielskich, wzięło nas w koło; pogaszono światła, zaopatrzono każdego w pas korkowy i całą siłą pary — w drogę — przez całą noc. Około g. 5. rano, dnia 19. sierpnia, byliśmy już w wodach holenderskich pod Hoeck van Holland. Stamtąd pociągiem do Rotterdamu do konsulatów austryackiego i niemieckiego. Wydano nam Reise-Zertifikate, dzięki którym mogliśmy wjechać na Elten-Emmerich do Niemiec, a potem na Eger (Cheb) w Czechach do Austryi. W Elten na granicy hollendersko-westfalskiej czekał już na nas austryacki komisarz wojskowy, pan Schwarz z Galicyi, krewny podobno Schwarzów, mych uczniów z Chyrowa, ze swym sekretarzem pochodzącym ze Sambora; obaj z wielką przyjemnością rozmawiali ze mną po polsku ku zdziwieniu Niemców. Ci otoczyli nas kołem tak oficerowie jak i żołnierze i wypytywali o wiadomości z Anglii, zwłaszcza o sprawę żywnościową i skutki ataków powietrznych oraz podwodnych. Z Elten wysłano nas do Goch, stamtąd

do konsulatu austryackiego do Kolonii, gdzie nam dano polecenie stawienia się w Eger. Więc na Elberfeld, Cassel, Erfurt, Weimar, Jenę, Gerę, Plauen dojechaliśmy 25. sierpnia do granicy sasko-czeskiej we Voitersreuth, gdzie złożona komisya austro-saska dala nam potrzebne pieczęcie na wyjazd do Austryi. We Wiedniu rozstałem się z miłymi towarzyszami mej podróży i studyów, a 28. sierpnia byłem już w Krakowie, zadziwiając samą nawet policyę, żem tylko 10 dni potrzebował w tych czasach na tak trudną podróż. Podziękowałem za wszystko N. Sercu P. Jezusa i Matce N., bo rzeczywiście okazali nadzwyczajną pomoc i opiekę. Deo gratias. —

X. Andruszkę zostawiłem jeszcze w Anglii; on poddanym rosyjskim, więc trudno mu tu wracać. Zresztą miał jechać na pracę wśród Litwinów do Stanów Zjednoczonych, tylko w chwili mego wyjazdu sprawy paszportowej nie miał jeszcze uregulowanej.

Ostatnią tam wiadomością od O. Rostworowskiego z Tomska była ta, że jedzie na zachód i myśli się osiedlić w Kijowie lub w Czernihowie. W Krakowie zastałem już świeższe wieści o nim, że jest w Petersburgu.

W sytuacyi O. Hankiewicza w Afryce niema zmiany; wolno im prowadzić dzieło misyonarskie, ale z wielkiemi ograniczeniami. O. Superyor Kraupa spisuje się tam wspaniale; mimo tych trudnych warunków wybudował dom i kościółek, założył internat chłopców i dziewcząt murzyńskich, czuwa, by nie zamarła praca misyjna, a umie też kierować obławą na zbyt natrętne lwy. Ładne opisy paru ich przygód z lwami, jak i wszystkie kartki O. Rostworowskiego, pisane do mnie z wygnania, musiałem zostawić w Hastings wraz z innymi mymi papierami i książkami.

X. Franciszek Kwiatkowski T. J.



ILLO TEMPORE.



Dwadzieścia pięć lat temu, jak po raz pierwszy wyszła w świat Gazetka Chyrowska, aby rozrzuconych po wszystkich zakątkach Chyrowiaków skupić znów pod jednym sztandarem żołnierzy Kościoła i Ojczyzny. Była to wielka i szlachetna myśl, aby ten Kwartalnik — niby echo młodzieńczych porywów i ideałów z ławy szkolnej — budził w nas i ożywiał to, co może ciężar realnego życia w niejednem sercu przytłumił.

Bo, że szlachetne ziarno, rzucone na świeżą rolę serc dziecinnych, serc polskich, nie zginie, to rzecz pewna, czuwa nad tem Królowa nasza z Jasnej Góry, czuwa, aby to ziarno dojrzało i wydało plon stokrotny, plon, który będzie życiodajnym pokarmem obudzonej do nowego życia Ojczyzny. Dzisiaj ta chwila żniwa nadeszła, chwila ziszczenia naszych marzeń i ofiar krwawych naszych dziadów i ojców, ale równocześnie z promienną nadzieją trwogą napełnia się serce na widok tej strasznej niezgody w narodzie i rzucanych sobie wzajemnie w oczy najcięższych zarzutów — zaprzaństwa i samolubstwa. To gorszy rozbiór Polski niż ten, co tylko ziemię polską dzielił na części.

Niechże więc nasz Kwartalnik Chyrowski w nowym ćwierćwieku dopełnia swego dzieła dalej: apelu do czynu i zgody. Niech zwołuje nas dzwonkiem wspomnień młodzieńczych i koleżeńskich z rozmaitych „klas" znów do jednej dywizyi, abyśmy zjednoczeni duchem poszli ławą naprzód, naprzód nieprzezwyciężeni i nie spoczęli tak długo, póki nie pokonamy wrogów, co ujarzmiają ciało i ducha. To będzie zwycięstwo godne Królowej Korony Polskiej.

Tadeusz hr. Łubieński.

Cudny dzień — wszystko kąpie się w słońcu i cieple; jesieni się jeszcze wprost nie czuje, ani widzi — w taki dzień! I wszystkoby było, „pięknie, cudnie i bogato" — bo i żniwa tu w tym zakątku, nie spustoszone przez Moskali, którzy już czasu na to nie mieli — gdyby nie przewrotność ludzka! I w ten cudny, jasny, złoto-niebieski dzień ludzie się mordują — krew płynie, lecą trupy — „homo homini lupus", a nawet i gorzej!!

Ryk dział, naszych i nieprzyjacielskich, drze to złote powietrze — granaty, szrapnele... wyją. Lotnicy uganiają się w powietrzu — najrozmaitsze typy aparatów: Voisin, Farmann, Newport, Sopwith — wszystko moskiewskie; ale latają po największej części Francuzi, bo tu przed kilku tygodniami dostali Moskale 80 franc. lotników na ten front. W tej całej czeredzie nowy aparat, angielski „Spad", dwupłatowiec, odbywający drogę 200 km. na godzinę, malutki, zwinny i obrotny, jak łasica, kręci się szelma, jak mucha w ukropie.

Ja zaś sobię siedzę pod kilku wierzbami przy bateryi i piszę.

Wprawdzie ciągle mnie odrywają, bo strzelanina idzie gorąco, a tu — choć moi oficerowie i ludzie swoją robotę znają i wszystko „klapuje“ na włosek i idzie sprawnie i prędko, — trzeba jednak wszystko w oczach i w rękach mieć, zważać na wszystko: strzały, komendę, telefon — podać tu i tam korrekturę strzałów i t. d. Trudno przytem spokojnie pisać i przerywać trzeba; ale mimo to w przerwach piszę, by się z obietnicy wywiązać i coś niecoś nowego donieść; może się to i do „Gazetki“ przyda, choć nie mam pretensyi, by „być drukowanym“.

Krótko postaram się streścić zdarzenia ostatnich czasów — choć nie wiem, jak to wypadnie. Bo mój „literacki“ styl z czasów O. Koppensa dawno „w kawki poszedł“. Od tylu lat nie pisałem nic w tym guście, a od trzech lat tylko depesze telefoniczne i sprawozdania — sucho, krótko, węzłowato. Więc też i O. Koppensowi proszę tego listu nie pokazywać, boby się mnie z pewnością wyparł...

Więc 10/VIII. wymaszerowałem z moją bateryą z pozycyi koło Dorna-Watra, gdzieśmy od jesieni 1916 stali i walczyli. Główny front „poszedł“ już był o parę dni przedtem naprzód — mnie jeszcze zostawiono do dalszej dyspozycyi komendy armii — dla ochrony tylnych linii, rezerw, szpitali etc., którym rosyjscy lotnicy jeszcze i po gwałtownej ucieczce Moskali i całego ich frontu mocno zagrażali. Wprawdzie mieliśmy najpierw mandat, że mamy przejść na inny front i do innej armii — ale, widać wskutek nader szybkich wydarzeń na naszym froncie, nasza komenda armii zmieniła telegraficznie rozkaz i zostałem przy dawnej armii, tylko w innym dziale.

Szliśmy najpierw na północ, potem na wschód, nareszcie na połudn. wschód, aż na miejsce obecne: przeszło 200 km. — I szliśmy w całem tego słowa znaczeniu, bo całą drogę pieszo! Ja — i oficerowie moi — i całe żołnierstwo! Bo koni mi kilka w zimie i na wiosnę padło — reszta jeszcze osłabiona była po różnych chorobach, ciężkiej zimie, złym furażu — mój poczciwy konik „Mikrus“, który mi wiernie już parę lat służy, też na nogi chorował, więc waliliśmy piechotą. Góry, po największej części straszne drogi na miękkim gruncie, zryte do niemożliwości jeszcze ciężkiemi autami o 9 t. (9000 kg) wagi (naturalnie z ładunkiem; samo takie auto ciężarowe waży 3—5 tonn), któreśmy jeszcze w dodatku musieli nieraz wyciągać z dołów i dziur — noce w namiotach na polu — tak szliśmy 7 dni! Mijaliśmy okolice straszne: rowy — pozycye — znowu rowy, zasieki i druty, wszystko zryte strasznie granatami; lasy, prześliczne bukowińskie lasy, podarte na szmaty i strzępy; groby i groby — zniszczone, spustoszone osady; niektóre tak wskutek walk i ostrzeliwania zniszczone, że zniknęły wprost z powierzchni ziemi i tylko gdzieniegdzie jeszcze widać ślady słabe, że stał ongiś dom, że mieszkali ludzie — n. p. Valeputna, malutkie miasteczko, ale piękne i bogate w czasie... pokoju. — Słowem:

ruina, zniszczenie, pustka — jeden wielki grób... ale i to powiedzieć mało...

Opisać, wysłowić, wymalować się nie da: trzeba widzieć to własnemi oczyma, dotknąć własną ręką — aby choć w części uzmysłowić sobie, ile okropności, zniszczenia, rozpaczy, śmierci i grozy mieści w sobie wyraz „wojna" — bo zrozumieć... zrozumieć trudno!! Straszne, straszne!! A to przecie oglądałem już po tych okropnych walkach; już trupów, rannych nie było; już pożary pogasły — bo było to prawie w 14 dni po gwałtownem cofnięciu się Rosyan... pustka, głusza, grób — przynajmniej nie tak, jak w zimie 1914/15 w Karpatach pod Homoną, Gorlicami i t. d., gdziem widział tysiące trupów, rannych i konających, ciała strasznie podarte a żywe jeszcze — rzeki krwi, w której nieraz musieliśmy, idąc rowami, po kostki brodzić!! Nie silę się na opisy — mojem zdaniem — żaden człowiek na świecie, żaden poeta, ni artysta nie opisze tego, nie wypowie — żaden nie odmaluje; przejść, przeżyć, widzieć to i dotknąć tego trzeba, aby... zamilknąć, oniemieć!!

Wreszcie doszliśmy na miejsce przeznaczenia — i zaraz zająłem pozycyę. Teren tu dla artyleryi trudny, bo płaski. W dodatku Moskale mają parę lepszych stanowisk, niż my — na wzgórzach i widzą wszystko. Więc wogóle działanie z ukrycia bardzo trudne. Jeszcze to znośne dla zwykłej polowej artyleryi, która tylko na ziemne cele strzela (t. j. tylko na cele na ziemi, nie na lotników). Ci mogą sobie działa bodaj w ziemię wkopać i nakryć maskami tak, że ich nie widać. Ale z moją bateryą co innego: ja muszę mieć wszystko wolne dookoła, bo najpierw strzelamy zwykle bardzo wysokiemi elewacyami (od 30° zwyż), czego inna baterya do ziemnych celów nie potrzebuje; a potem: tamci sobie mogą każde strzelanie urządzić, jako strzelanie do pewnego celu pomocniczego — t. j. z wyjątkiem komendanta i obserwatora sama baterya nie potrzebuje nawet widzieć ni wiedzieć, na co strzela; bo przez odpowiednie nastawianie instrumentów i pryzmatów celowniczych może sobie taka baterya mierzyć na cokolwiek: drzewo, kościół, chorągiewkę i t. p, ustawione nawet za plecami bateryi, w kierunku wprost przeciwnym od celu; a strzela mimoto na cel dany. U mnie to inaczej: ja muszę mieć mój cel, t. j. lotnika, wprost w pryzmacie instrumentu celowniczego, w t. zw. Aufsatzfernrohr, nie mogę użyć żadnego celu pomocniczego, tylko muszę cel wprost widzieć. Przeto i maskować się przeciw widokowi z góry nie można! Skutki tego okazały się zaraz na 2. dzień: Moskale musieli mnie znaleźć, może i z balonu obserwacyjnego za ich frontem (bo i oni mają takie „zabawki") — no i zaczęli mnie „macać" granatami. Przesunąłem więc baterye o paręset metrów w bok, by niepotrzebnie ludzi i materyału nie wystawiać na ich ogień; po paru dniach i tam w kukurudzy znaleźli mnie ich lotnicy i kilkakrotnie nawet z wysokości 800 m. atakowali ogniem z karabinów ma-

szynowych — łaska Boża, że ani rannych, ani strat nie było; za to podałem kilku do medali waleczności, bo w ciężkich byli terminach! D. $^9/_9$ było najgorzej: nie mogąc mnie inaczej dostać, zaczęli mnie ostrzeliwać z pomocą „lotnika iskrowego"; robi się to tak, że lotnik ma radiotelegraf w aparacie, krąży między strzelającą baterya i ostrzeliwanym celem i kieruje ogniem bateryi przez radiotelegramy i znaki. Naturalnie był to Francuz, bo pomimo mego ognia nań skierowanego, zwijał się ćwik i kierował ogniem Moskali; ale snadź i moje strzelanie mocno go irytowało, widać to było z jego zachowania się. Swoją drogą może i pomiędzy ludnością znaleźli się „patryoci" — bo Moskale zbyt dobrze strzelali i w zbyt krótkim czasie znaleźli mię swymi strzałami! Gorąco było — bo gorąco! 12 cm. granaty i szrapnele i to bardzo regularnie: po 2 granaty, 2 szrapnele; granaty pękały tuż tuż przed działami i za niemi, szrapnele zas o 5—6 m. tuż ponad nami! Przy pierwszej takiej „porcyi" nie zauważyłem, że to ich szrapnele. Uderzony nagle całą falą dymu i gorącego powietrza w twarz, jak pięścią i czując nagle gorąco i gwiżdżące kawałki żelaza koło głowy i w bateryi, krzyknąłem jeszcze do działa Nr. 1: „Co to? czy rurę rozsadziło?" Myślałem bowiem (obserwowałem właśnie owego lotnika iskrowego przez duży binokel obserwacyjny, komenderując ogniem bateryi — więc nie mogłem widzieć, co się przedemną dzieje), że mi jaki granat lub szrapnel przedwcześnie pękł w lufie (miałem już raz taką przyjemność) i rozsypał się w bateryi. Tymczasem na moje pytanie dopiero ludzie wrzasnęli, że to ros. szrapnele i rzeczywiście: podniósłszy głowę od binokla, widzę znowu, tuż nad nami: puk, puk — 2 sztuki „pięknie temperowane" i 2 granaty przed baterya! Głośno i otwarcie powiadam: łaska i cud Boży i Najśw. Maryi Panny opieka, że ani mnie, ani ludziom moim nic się nie stało, ani rannych nawet nie było; bo trwał ten „bal" od godz 9-tej rano do $^1/_2$12-tej w południe, bez przerwy!! Alem za to znów parę srebrnych medali za waleczność dla moich chłopców „wydębił" na dywizyi!! W końcu lotnik iskrowy przecie pod naszym ogniem poszedł precz, ale za to Moskale byli w celu, czyli: w mej bateryi. Co mnie jeszcze na myśl zdrady naprowadziło, to to, że gdyśmy nie strzelali, to oni wtedy nie bili w bateryę, tylko — w moją kwaterę w chłopskiej chałupie, stojącej na prawo poza bateryą, w której to chałupie, stojącej na prawo poza bateryą, zwykle z oficerami gadałem; gdy nas nie było wcale w kwaterze, nie strzelali całkiem; ale n. p. obiady i kolacye mieliśmy regularnie „solone" odłamkami granatów, ziemią, szkłem, drzazgami i t. p., co wszystko przez okna leciało do izby; a biły szelmy granatami 12 cm.!

I znowu Boga i Najśw. Panienki łaska i opieka: nam nic — i w dom nie trafili, choć walili w podwórze i prawie w próg domu!! Ale w końcu wynieśliśmy się — i z pozycyi i z kwatery; nasz szef to doradzał odrazu, ale skorom tylko ramionami wzruszał, wkońcu naka-

zał. Zresztą takie przenosiny (naturalnie tylko w nocy, w dzień ani się ruszyć!) mieliśmy jeszcze potem 2 razy, ostatni raz w nadegipskie ciemności wśród deszczu i wichru. Obecnie mam znów nową pozycyę i nową kwaterę; gdyby i tu miało być zbyt „gorąco" (nie daj Boże, bo te przeprowadzki gardłem i bokami wyłażą), trzebaby znowu pozycyę przesunąć. Taki rozkaz. — Teraz tu ruchawka; ja oczekuję mego odwołania (wraz z bateryą) i przydzielenia do innego korpusu; tak mi dano znać „z góry". Ano, dobrze; „Befehl" jest „Befehl" — i basta! Może pójdę trochę do Niemców, którzy tu sąsiadują z nami i krzyczą o bateryę, by im pożyczyć. Zobaczymy!!

Kapitan Stanisław Ciechulski.



LEGIONIŚCI W ZAMBROWIE.

Spory to szmat czasu. Już nowe pokolenie zasiada przy biurkach w ławkach sal chyrowskiego gmachu, już niejednemu ze współpracowników pisemka cichą usypano mogiłkę — a „Gazetka Chyrowska" bez przerwy nieci iskry boże, zespala serca, buduje duchowe tumy, krzepi dusze i podnosi ku wyżynom bożych i ojczystych ideałów. Dziś święci jubileusz swej cichej, zbożnej pracy.

Przeglądnąć tak karty, aż do onej pierwszej, na której widnieje napis: „Z Chyrowa", a pod obrazkiem zakładu, nad którym wznosi się Niepokalana w aureoli gwiazd i tęcz, ono przewspaniałe hasło: „Deo, Patriae, Amicitiae" — ile tam wspomnień, jakby o jasnej wiośnie, jakby o srebrnych snach, jakby o wzlotach orlich, jakby o dźwiękach bijących młotów, jakby o zwijaniu przędzy złotej...

Tu rozbrzmiewa pobudka do rycerskich zapasów, tam wojownik

stary wprawia dłoń młodego do władania orężem, ówdzie młody skrzykuje młodych do obrony sztandaru — a sztandar unosi się wciąż i sieje blaski i rwie ku sobie oczy i z pamiątkami bitew i żołnierskich trudów, ale nie zbrukany i czcigodny powiewa nad polami zwycięstw i chwały i zwycięskie przepowiada jutro.

A ile wielkich dla czynów i życia myśli i wskazań i wykonań nie podają te początkowo drobne, ale z czasem rozszerzające się karty?! Zlicz, kto możesz, te kwiaty polne najserdeczniejszych uczuć, składane na ołtarzu Przenajświętszej, czy u żałobnego pomnika umęczonej Ojczyzny, czy w wieńcu koleżeńskiej przyjaźni! Zlicz, kto możesz, te perły, dobyte z dusz głębi, onych życiowych prawd, nie zamierających nigdy. Zlicz, kto możesz, one błyski gwiezdne, rozświetlające mroki, przynoszące cichy ukój, wiodące dusze drogą Aniołów i łączące je z niebem.



LEGIONISCI 2. P. UŁANÓW VI. SZWADRON.

Wśród szarych chyrowskich murów, wodzi po nich wzrokiem młodziutki konwiktor, to zamyśli się, to uśmiechnie... oto ziarenko małe padło do głowy i serca — kiedyś wyda ono swój plon.

W samotnym kawalerskim pokoju pochylił się nad niemi Exchyrowiak akademik, — ręką podparł czoło, nad którem głęboka osiadła zaduma. Hej, jak to było niedawno? a teraz? gdzie to te wielkie ślubowania wobec Boga i w sercu!? I coś jak obuch uderzy w skroń, załamie się coś w sercu, wzbudzi się w duszy poryw i uratuje się człowiek.

Na werandzie wiejskiego dworku, oplecionej kwitnącym powojem, opalony słońcem i wichrem gospodarz-obywatel przerzuca nadeszłą pocztę — ach, „Kwartalnik“, mówi sobie półgłosem — co też tam nowego w konwikcie? I zagłębia się w jego kartach, jakby to było coś bardzo

ważnego, a zawsze drogiego sercu... Z gazonu i klombów płynie upajająca woń kwiatów, z blizkiego ogrodu dochodzi odgłos spadających dojrzałych owoców, w uchylonych drzwiach ukazuje się jasna, cicha postać anioła-żony, wzywającej do stołu, — a on się zaczytał, jakby stracił pamięć, gdzie jest, co się wokół niego dzieje... I on tam tak się uczył, modlił, bawił, grał na trąbce, siedział w kozie... Przyleciało to na niego jak wizya jakaś — zapomniał o kłopotach gospodarskich, poweselał w oczach... ach, niedługo trzeba będzie swego Stacha oddać tam... do konwiktu...

W ciemnej norze bojowego okopu płonie słabe światło świeczki — a oni we trzech przywarci wzrokiem i duszą do tych kart prostych, czytają jednym tchem. Ziemia zadygotała, jakby w nią piorun strzelił, na głowy czytających sypie się gruz — ratować się trzeba. Więc karabin i plecak do rąk... ale i „Gazetka" kochana; nie zostawią jej — nie, przecież dokończyć i jeszcze z pięć razy odczytać ją trzeba... tyle wspomnień, tyle radosnych, wśród tych okropnych chwil, uczuć...

Na długiej żołnierskiej pryczy w lazarecie, z obandażowaną głową leży bezwładny zupełnie, ciężko ranny. Podchodzi pielęgniarka i pyta litościwie, czyby sobie czego nie życzył. Na stoliku „Kwartalnik" — więc prosi, by mu trochę przeczytać... albo niech potrzyma mu przed oczyma, a on sam już da sobie radę. Tak nawet lepiej. Będzie mu się zdawać, że zawiewa nań zapach leśny od Suszyckiej góry, że widzi lśniącą wstęgę Strwiąża, że słyszy hejnał z wieżycy zakładu... przecież sam tak grał na niej...

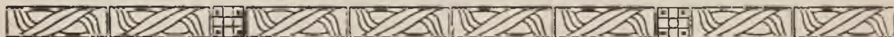
I lecą myśli i lecą serca w stronę, gdzie się najmilsze w życiu przeżywało chwile... cicho, dobrze, wesoło... i radują się choć na chwilę dusze... jak strudzonego oracza, gdy na Anioł Pański uderzy dzwon w ciche, jasne południe.

Tem była, tem jest, tem chce być nadal „Gazetka Chyrowska" — chce dalej świecić, cieszyć i zapalać — chce być surmą, budzącą do czynów wielkich, świętych — chce być łącznikiem między starszem i młodszem pokoleniem — chce być choćby drobną smugą świetlaną wśród życiowych chmur i burz dla wielu, w imię wypisanego na swych kartach hasła: „Deo, Patriae, Amicitiae".

Dziś obchodzi święto swego ćwierćwiekowego istnienia.

O wspomagaj i błogosław Bóg i Niepokalana na dalszą zbożną pracę w jak najdłuższy i najpomyślniejszy czas!

Ks. Władysław Wojtoń T. J.



Oto opowieść o dniu najpiękniejszym w Wenecyi, dniu, w którym jej oblicze, promieniejące zwykle weselem, przybiera taki powab, że, jeśliś go odczuć zdolny, wyryje ci się na duszy niezatartem piętnem, na tej twojej smutnej, zawsze zatroskanej duszy polskiej!

Il Redentore zwie się krótko w miejcowym dyałekcie — święto Zbawiciela.

A sięga czasów dawnych. W szesnastem to stuleciu nawiedziła Wenecyę straszliwa zaraza, pochłaniająca — jak chcą kroniki — mnóstwo ofiar dziennie. Wówczas sędziwy Patryarcha uczynił imieniem miasta ślub, że, jeśli Bóg zechce uratować je od ostatecznej zagłady, wystawi, jako dziękczynienie, świątynię, która po wiek wieków głosić będzie chwałę Bożego miłosierdzia. I odwróciła się zaraza, a w r. 1592. wzniósł się przy kanale Giudena kościół Zbawiciela.

Przeto na oną pamiątkę, rok rocznie w drugą niedzielę lipca, święci gród na lagunach w niezwykle uroczysty sposób dzień tyle dla siebie szczęśliwy.

Jest stare weneckie przysłowie, że nie widział Wenecyi, nie był świadkiem jej Festa di Redentore.

Więc chcąc odczuć jak najsilniej chwilę owego podnie- nieszkańców, winieneś zapomnieć, żeś przybył z innej ziemi, — połączyć się musisz z tym prostym Wenecyaninem w jego kornej, dziękczynnej modlitwie, potem w uniesieniu bez granic — jak gdyby ta czarna mara nie przed wiekami, ale dopiero wczoraj pierzchnęła od wrót Wenecyi. Bo też ów Wenecyanin nie rozumie połowicznej uciechy. Szczery w uczuciach swoich, wybucha śmiechem na całe gardło, topiąc niejako w tym śmiechu wszystek może ból wczorajszy i jutrzejszą troskę.

— E poi! — urywa filozoficznie, jakby opędzając się przed zbyt frasobliwą myślą...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Był dzień „feralnej“ trzynastki lipca.

Zbudził się piękny, słoneczny, upalny. Powitały go salwy armatnie stojących na kotwicy wojennych okrętów, zawtórzyły im dzwony z kopuł św. Marka. Z wiatrem łopocą długie języki trójbarwnych chorągwi na placu weneckiego Patrona.

Rozsłonecznionym gościńcem szerokiej Riva degli Schiavoni płynął odświętny tłum do bazyliki.

Zaczyna dzień wesela od Boga — jak ongi, jak zawsze...

Czy słyszysz, jak morze szepce poranną modlitwę, jak pluskiem fal wyzłoconych odmawia swój pacierz?

Pontyfikalną Mszę naznaczono na godzinę 9 tą. Ale już wcześniej plac cały przepełniony, docisnąć się do bazyliki nie sposób. Po drodze jeszcze dochodzą cię to stąd, to zowąd wesołe okrzyki: „la grande festa“, zlewające się z dźwięcznem a bezustannem nawoływaniem gondolierów: „Signori, gondola per Redentore!“ Gwar oszołomiający.

Wchodzimy do św. Marka. Już w nim głowa przy głowie.

Świątynia zdaje się dziś jakaś pojemniejsza — otworzyła szeroko ramiona, by opasać niemi kilkutysięczny zastęp wiernych.

Od słońca, co przeciska się gwałtownie przez wązkie otwory górnych okien, od mozaik ściennych, leje się jasność złocista na szeroką nawę kościoła, rzekłbyś — zatopi wszystko falami promieni.

Czujesz atmosferę wielkiego święta!

Z trudem przebija się wzrok twój poprzez zwartą masę stojących, dostrzegasz, że przeważają tutaj tubylcy, że ty i wielojęzyczna gromada przyjezdnych, od których roi się codzień plac św. Marka, giniecie kroplą drobną w onem morzu Wenecyan. Dzisiaj oni wzięli w posiadanie bazylikę, dziś w to „narodowe“ święto modlić się przyszli w swojej świątyni — do swego Boga. I raz ponoś w roku jest Wenecya — włoską.

Wśród skupionej ciszy poczęły wybijać cyklopy na Torre dell'Orologio oczekiwaną godzinę 9-tą. Wystrzał armatni... Z jego głuchem echem ryknęły trąby: „Ecce Sacerdos Magnus“ — i biała ręka Purpurata zawisła krzyżem nad schylonemi głowami.

Rozpoczęła się uroczystość, długa, pełna podniosłych ceremonii — wśród chóralnego śpiewu, co zdawał się rozsadzać grube mury markowego tumu.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Zabrzmiały dzwony.

Właśnie skończyła się Msza — z woniejącej kadzidłami świątyni wylewać się poczęły tłumy.

Procesya idzie... Więc na jej czele czernią się długie chusty pięknych Wenecyanek, migają w słońcu złote świecidełka — a dalej zwarty zastęp męski w białych, jak śnieg, ubraniach z szerokimi tęczowymi pasami.

Boki osypane gęsto przez karabinierów w ich tak malowniczych strojach.

Kołysze się fala ludzka od modlitewnego śpiewu. Już przewalił się z dziesiątek tysięcy przez plac św. Marka — jeszcze zaś nie widać kleru. Ale oto pochylił się las chorągwi przy wyjściu z bazyliki — wiatr wnet porwał chorągwiane szarfy i igra niemi swawolnie.

W drzwiach kościoła ukazał się pod baldachimem arcypasterz ze Sanctissimum..

Dzwony zajęczały głębiej. Zawtórzyły im pienia. Z rozkołysanych srebrnych kadzielnic buchają sine kłęby dymu na wsze strony, roznosząc woń słodką.

Poleciałeś myślą w kraj ojczysty. Wiejska procesya Bożego Ciała... Tu może więcej nieświadomej ekstazy południowej — tam, w ziemi twojej, głębsze uczucie.

I tak pełza długi wąż procesyi, wije się wśród ciasnych uliczek weneckich, to rozlewa się znowu szeroką falą na placu Morosini, gdzie z okien sypie się na nią kwiecie.

Procesya zdąża do kościoła Zbawiciela.

Już dwie godziny upłynęły od czasu jej wyjścia, gdy nareszcie czoło pochodu dotarło do zaimprowizowanego mostu na Giudecca, wstępując zwolna na stopnie świątyni. Wenecyanie idą paść na kolana tam skąd promień Łaski zabłysnął im przed wiekami:

„A grają im dzwony ze wszystkich kościołów
Ogromne, tętniące, podniebne, —
A śpiewy nad nimi, jak skrzydła aniołów,
Kołyszą się górne, wróżebne...“

— — — — — — — — — — — — — — — —

I raz jeszcze pomknęła myśl w rodzinne strony.

To owo wnętrze świątyni, co przypomniało ci te wiejskie, ubogie, polskie kościółki, umajone zielem w uroczyste jakieś święto!

Kościół Zbawiciela jest istotnie biedny, jakby opuszczony. I choć w dwu jego kaplicach patrzy na cię Tintoretto, a z nad głównego ołtarza — przejmujący Chrystus Ukrzyżowany — Campagna, przecież nie możesz oprzeć się wrażeniu, że wśród tylu wspaniałych świątyń Wenecyi, ta, na uboczu położona, należy chyba do najskromniejszych! Nie porywa cię ani ogromem Santa Maria della Salute, ani nie zachwyca bogactwem mozaik i marmurów bazyliki św. Marka, nie kryje w ciemnych podziemiach prochów, jakiemi szczycą się Frari, lub Giovanni á Paolo.

Ma za to swoje ołtarzyki, przytulone niezgrabnie do ścian szarych, ma i kolumny w ołtarzach — od starości jakby zgarbione i... niejeden obraz nieudolnego pendzla — jak te, na które tak często patrzysz po wiejskich, zapadłych kapliczkach.

Lecz dzisiaj... il Redentore oblókł na się strój inny. Ubrały go girlandy żywych kwiatów, oplotły wieńce szmaragdowego listowia, okrył się purpurą złotem tkanych materyi. Jest odświętny, majestatu pełen, godności i dumy, gdyż zwołał teraz w swoje mury Wenecyę całą i rozbrzmiewa potężnie dziękczynnem „Te Deum laudamus...“

Przy wtórze niezliczonych dzwonków, unosi się w górę ognista tarcza Monstrancyi i błogosławi, błogosławi ludowi...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Jesteś na placu św. Marka. Wieczór. I znowu tłumno tu i gwarno.

Po pół dnia blizko trwającej procesyi lud sposobi się do zabawy.

— La grande Tombola! — dochodzą cię okrzyki.

Istotnie na środku placu dostrzegam olbrzymie rusztowanie, z porozwieszanemi liczbowemi tabliczkami, z jednej i drugiej zaś jego strony nieprzeliczone rzędy krzeseł. W głębi pulty dla kapeli.

Cała konfiguracya placu zmieniona, równie jak i jego charakter. Bo przecież przed kilku godzinami miałeś tu jakby wtóry obraz seicenta, z tym rozmodlonym, ekstatycznym tłumem, tulącym się pod skrzydła Boga w dobie niebezpieczeństwa. Przydaj jeszcze figurę doży, signorii — a ujrzysz już „Królowę morza“ w jej — dawnym niemal kształcie i blasku.

A teraz... Za godzinę stoliki kawiarniane, wśród powodzi świateł elektrycznych, obsiędzie różnojęzyczna gawiedź forrestierów. Strojni panowie, przeważnie w canotiers słomianych, ubrane, a raczej rozebrane panie, puszczą się na monotonną, lecz hałaśliwą pod arkadami promenadę. Ścisk, pisk, trzask wyskakujących w górę na canale grande rakiet, huk banda militare, zmuszanej nieustannie do intonowania Marcia di Tripoli... Dzisiejsza Wenecya!

I tylko przedziwna bazylika markowa stoi bez zmiany, nietknięta niczem, najczcigodniejsza „arka przymierza między dawnemi, a młodemi laty...“

— — — — — — — — — — — — — — — —

Późną nocą z okna hotelowego znów inny widok.

Cały kanał wielki jak na dłoni. Wenecya układa się do snu. Wyczerpana całodziennym trudem oddycha ciężko, niby człowiek, co wróci z długiej, nużącej wędrówki.

Jeszcze zabłąka się hen z zaułka ciepła nuta pieśni zapóźnionego przechodnia, jeszcze dojdzie cię tajemniczy plusk gondoli od strony Piazetty — zresztą niczem niezmącona cisza.

Księżyc przyłożył swoje blade czoło do tej — tam na dalekim nieboskłonie chmury i zdrzemnął się na chwilę...

Tylko gwiazdy na czujnej straży. Sine opary włóczą się zwolna, leniwie, ponad czarną powierzchnią morza, oplatając przejrzystą zasłoną szare kontury San Giorgio Maggiore.

Tam — od wysepki Łazarza — czy widzisz, rysuje się coś na wodach?..

To brodate wodniki zasiadły poważnie kołem na grzbietach fal sennych i gwarzą sobie, gwarzą — gwarzyć będą do srebrnego świtu...

Dr. Witold Bełza.

Gdy za moich czasów rozdano nam gazetkę, to w całym Konwikcie nastawała zupełna zmiana. Długie szeregi konwiktorów, zdążające na rekreacyę, czy do jadalni, szły spokojnie i w skupieniu, gdyż każdy miał utkwiony wzrok w Kwartalniku. Cichły wtedy gwarne kiedyindziej boiska, czy sale rekreacyjne, bośmy zapominali o zabawie, chcąc się nasycić miłem pisemkiem. Nie chcę dać złego przykładu młodszym ko-

legom, ale przyznać muszę, że i w szkole podczas lekcyi, za plecami kolegów, czytywało się gazetkę, a jednemu z nas, podobno, tak się zdarzyło, że wyrwany przez Ojca polonistę do dalszego czytania „Pana Tadeusza“, wiersz X. Karyłowskiego z wielką swadą deklamować zaczął.

Czemu Kwartalnik tak interesuje wszystkich i po opuszczeniu Chyrowa, łatwa na to odpowiedź. Każdy, kto go czyta, znajdzie w nim coś, co go specyalnie zaciekawić może. Jeden szuka w nim może wzmianki o sobie, inny wiadomości o swych kolegach i przyjacielach, drugiego znów bawi obecne życie konwiktowe, zajmują sprawy Sodalicyi, czy Związku, a każdy też znajdzie i poważniejszy artykuł.

Redakcya, znając ten szczery pociąg czytelników swych do „Kwartalnika“, przejęta apostolską myślą szerzenia dobrego, pomimo stałych niedoborów w kasie, posyła swe pismo wszystkim Chyrowiakom, których tylko adres posiada. I nie rzadko się zdarzyło, że ktoś, który już o Chyrowie zapomniał, otrzymawszy gazetkę, rozżarzył w sobie gasnącą już w popiele iskrę i wstąpił na lepsze tory.

Jak mile jest witany Kwartalnik na froncie, to widać obecnie z bardzo licznych listów kolegów. Ja sam otrzymywałem Kwartalnik przestudyowany wpierw przez mych Legionowych przełożonych, a potem często bywałem proszony przez kolegów, by im pożyczyć tej książeczki w żółtych oprawkach. Nigdy nie zapomnę chwili na wołyńskim froncie, we Wołczecku, gdy pod wieczór, gdym już siedział na koniu i odjeżdżać miał do okopów, wręczono mi Kwartalnik. Jeszcze podczas jazdy konnej przejrzałem go zgrubsza, a potem w okopie, gdy konie odprowadzono, przeczytałem gazetkę od deski do deski, przy świecy. Nocne wtedy czuwanie przyjemnie zeszło, a i gęsta strzelanina patroli na prawem skrzydle nie denerwowała mnie zbytnio.

Za całą tę pracę przy wydawnictwie naszego kochanego pisemka zasyłam serdeczne podziękowanie.

Stanisław Myszkowski, ułan 2 p. ułan. p.

Kwartalnik, którego jubileusz 25-cio letniej pracy obchodzimy, jest nietylko łącznikiem wszystkich Chyrowiaków, lecz także łącznikiem wszystkich Chyrowiaków-Sodalisów, gdyż oni to w Kwartalniku nietylko sprawy Konwiktu, lecz także sprawy Sodalicyi Konwiktowej pilnie śledzą.

Łącznikiem Sodalicyi był Kwartalnik wytrwałym i wiernym. Budził z uśpienia i rozpalał w sercach Sodalisów miłość ku Maryi. Opisywał im podniosłe uroczystości chyrowskie ku czci Bogarodzicy; skupiał ich około wzniosłej uroczystości Niepokalanego Poczęcia N. M. P., wzywał

ich do odnowienia się i utwierdzenia w służbie dla Maryi; podawał im coraz to nowe imiona miłośników Maryi, którzy wstępowali w poczet Sodalisów. Kwartalnik sprawił, że rozproszeni po świecie Chyrowiacy-Sodalisi lgną do Sodalicyi chyrowskiej, jak do Macierzy.

Ta praca Kwartalnika z pewnością zmierzała do tego, aby Chyrowiaków, którzy opuścili mury Konwiktu, utwierdzić w tej myśli, że ich obowiązkiem moralnym jest należeć i pracować w Sodalicyach w miejscu swego zamieszkania, jeśli sztandar religii katolickiej silnie w dłoniach dzierżyć usiłują. Sodalis bowiem to członek zszeregowanego hufca wyznawców wiary św.

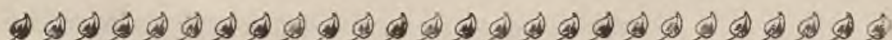
Sodalis to miłośnik Ewangelii, która głosząc miłość, pokój i zgodę, w raj świat ten przemienia.

Sodalis to wróg podłości, obłudy i kłamstwa; Sodalis to Polak, który troskliwie przechowuje tradycye swych ojców, którzy za wiarę i Ojczyznę krew swą przelewali. Tych wzniosłych ideałów stróżem winien być każdy Sodalis. A im straż ta liczniejszą będzie, tem bezpieczniejsze będą święte ideały pośród społeczeństwa, tem głębiej przed imieniem Jezus zginać się będzie wszelkie kolano.

Dlatego szeregujmy się w Sodalicyach Maryańskich! Wzmacniajmy dawne, budujmy nowe! Niech Sodalicyami, jakby twierdzami obronnemi, pokryje się kraj cały! Zmartwychwstającej Polsce wyjdzie to na pewny pożytek, tak jak dobrej matce na dobre wychodzi karne wychowanie synów. Polska otrzyma wtedy ludzi z charakterem, ludzi z zasadami, ludzi z poczuciem obowiązku, ludzi, którzy przyjmują odpowiedzialność za swoje czyny, tak wobec Boga, jak wobec matki Ojczyzny. Takich prawych synów Polski, a wychowanków Konwiktu Chyrowskiego zgrupowanych w Sodalicyach krajowych, sam poznałem kilku i świadczę, że nie uchybili nigdy służbie Bożej, ni służbie Ojczyzny; nie splamili imienia Chyrowiaka, ani dobrej sławy własnej. Aby takich było coraz więcej, powtarzam hasło:

Szeregujmy się w Sodalicyach Maryańskich!

X. Tadeusz Marekowski.



Długo biłem się z myślą, co napisać do naszej gazetki na ten jej 25-letni jubileusz. Przez tę ćwierć wieku tyle przecie przesunęło się pokoleń, a z niemi tyle związało się zdarzeń różnorodnych: więc cóż dziwnego, że takie mnóstwo uwag ciśnie się pod pióro!



Kiedy jednak myślą i kochającem sercem ogarniam i tych, co z Chyrowskiego Konwiktu — jak ze zbawczej arki Noego — wyszli na arenę świata i muszą iść na przebój przez życie... i tych, co się teraz w tem miłem ustroniu do życia sposobią, by przez nie przejść zwycięsko na chwałę Bogu i Ojczyźnie, a ze szczęściem i zbawieniem dla siebie: to zdaje mi się, że nic odpowiedniejszego wybrać nie mogę, jak — Matkę Najświętszą i nic praktyczniejszego, jak przypomnienie, *czem Ona jest i czem być powinna w całem naszem życiu.*

Nie napróżno ten Pan Jezus, co nas tak ukochał nad życie i tak naszego szczęścia i zbawienia pragnie, dał nam Maryę *za matkę*. Wiedział On najlepiej, że jak nikt nad Nią nie potrafi goręcej ukochać Boga, tak też i nikt nad nią nie zdoła goręcej, i z całą macierzyńską troskliwością, ukochać każdej duszy, za którą Boski Jej Syn wszystką krew przelał i życie swe oddał na krzyżu... On Ją i *Współzbawicielką* naszą zrobił i *wzorem* przecudnym i niewyczerpanem *źródłem* łask wszystkich i pociech. Oddawszy Jej Siebie Samego i Swe Serce i niebo i ziemię, oddał Jej na własność i wszystkie swe skarby, żeby nimi szafowała wedle upodobania... Dlatego to i Kościół św. kładzie w usta Maryi owe słowa Ducha św.: „*We mnie wszystka nadzieja żywota i cnoty*“ (Ekkl. 24. 25.) i dlatego także św. Bernard śmiało twierdzi, że Pan Bóg wszystkie łaski duchowe i doczesne „*rozdaje tylko przez Maryę*“... Ona zaś tak jest niepojęcie dobrą i miłosierną, że jeszcze „od wieków nie słyszano, aby kto uciekając się do Niej, miał być od Niej opuszczony“...

Już w Ewangelii to widzim — nasamprzód w nawiedzeniu Elżbiety św., a powtóre na godach w Kanie Galilejskiej... Zaledwie w progi domu Zacharyaszowego wstąpiła Marya, a w tej chwili cały dom napełnia się cudami... Kiedy zaś Boski Zbawiciel przemieniając cudownie na prośbę Maryi wodę w wino, wydobył owych nowożeńców z bardzo kłopotliwego położenia, to ze słów Jego własnych staje się oczywistem, że nie byłby tego cudu wielkiego uczynił, gdyby nie Marya... Tajemnicą szczęścia tych ludzi było to, że — jak mówi Ewangelia św. — *była tam Matka Jezusowa.*

To samo trzeba powiedzieć o wszystkich prawdziwych czcicielach i miłośnikach Najśw. Panny. Dowodem tego — że tylko niektórych przypomnę — życie takich Świętych, jak n. p. Bł. Albert Wielki, Św.

Bernard, Bł. Herman, Św. Bernardyn Seneński, Św. Alojzy, Św. Jan Berchmans, Św. Alfons Rodriguez, a zwłaszcza nasz Św. Stanisław Kostka...

Całe ich życie tak było ściśle splecione z Maryą, tak — jeśli rzec można — pełne Maryi: że, jak niepodobna wyliczyć wszystkich dowodów ich czci i miłości dla Najśw. Panny, tak tembardziej niepodobna opowiedzieć, jak się im za to Ona całe życie odwdzięczała najczulszą i naprawdę matczyną opieką, pieszczotą, łaskami i cudami. Słusznie powiedzieć trzeba o każdym niemal kroku w ich życiu, że *„była tam Matka Jezusowa“*; oni zaś sami, gdybyśmy ich mogli o to zapytać, wyznaliby niechybnie to samo, co Mędrzec Pański o Mądrości Bożej wyznaje: *„Przyszły mi pospołu z Nią wszystkie dobra“* (Mądr. 7. 11).

Nie od rzeczy przypomniećby tu można przykład z niedawnych czasów — bo dzieje bohaterskich poświęceń ś. p. Ojca Beyzyma pośród trędowatych na Madagaskarze. Wystarczy wziąć do rąk życie jego i listy, aby na każdej niemal stronicy spotkać się z wyrazami jego dziecięcej miłości i ufności dla Najśw. Panny tak dalece, że zdaje się, jak gdyby wiodła go za rękę niby Stróż Anioł ukochany, jakby to Ona przenosiła go ponad przepaściami, strzegła w niebezpieczeństwach, dawała mu natchnienia i te przedziwne słowa, co najtwardsze serca kruszyły. O tak — to Ona wypraszała mu siłę, męstwo, pociechy i wytrwanie w tych nadludzkich trudach i ofiarach — Ona mu poddawała natchnienia i śmiałe plany, jednała życzliwe dla nich serca i hojnych dobroczyńców w dalekiej Europie a wreszcie — czego by się nikt nie mógł po ludzku spodziewać — pomogła mu znaleźć dla jego ukochanych nędzarzy, jakby rozkoszną oazę na pustyni i wystawić wspaniały i wygodny gmach, gdzieby jego — jak zwykł był mówić — czarnym pisklętom dobrze było dla duszy i ciała, choć jego nie będzie między nimi... O, doprawdy — *„była tam Matka Jezusowa“*.

To też, kiedy myślę o mych kochanych Chyrowiakach i o tych wszystkich, których P. Bóg z życiem i pracami mojemi powiązał, to tego ponad wszystko dla nich pragnę i o to dla nich proszę, by w ich życiu całem królowała ta najsłodsza, najśliczniejsza, wszechmocna i najmiłosierniejsza — Matka Jezusowa...

Wtedy spokojny będę, że — co najważniejsza — dochowają łaskę Bożą, że nad całem ich życiem świecić będzie jasna tęcza wiary i nadziei, a samo ich życie — strugami łask Bożych zalane, stanie się złotem pasmem pięknych czynów i zasług. Owszem — niebo wiekuiste takim obiecuję, oparty na nauce świętych i doświadczeniu tysięcy, że *prawdziwe i wytrwałe nabożeństwo do Najśw. Panny jest pewnym zadatkiem zbawienia i jakby wybrania do nieba...* „Kto mnie znajdzie — zdaje się mówić Sama Marya — znajdzie żywot i wyczerpnie zbawienie od Pana“ (Przypow. 8. 18).

Słyszałem o jednym księdzu, że — kiedy na jego rękach umierała

bardzo świątobliwa jego matka — to o jedno ją prosił, a mianowicie, by z nieba całe życie stała przy nim, strzegła go i pomagała mu we wszystkiem — i otrzymał, czego pragnął.

Jakiemże dopiero szczęściem byłoby dla nas, gdyby tak całe życie i na każdym kroku stała przy nas z całą swoją wszechmocą — Matka Jezusowa i nasza!

A przecie możemy to zrobić, jeśli Ją na wzór Św. Stanisława Kostki ukochamy jak matkę i nietylko czcić Ją będziem i chwalić na wszystkie możliwe sposoby modlitwą i różańcem, nosić Jej szkaplerz i medalik, prosić Ją o pomoc i błogosławieństwo w każdej sprawie i uciekać się do Niej w każdej potrzebie i pokusie: ale przedewszystkiem, jeśli z miłości dla Niej strzedz będziem nad życie czystości serca i zmysłów, a wiernie i z cywilną odwagą — jak na dziecko Maryi przystoi — służyć będziem Jej Boskiemu Synowi...

Naonczas niechybnie i o życiu naszem całem, o naszych pracach i cierpieniach, walkach i zwycięstwach, nawet o śmierci samej powiedzieć będzie można, że „*była tam Matka Jezusowa*“ (Łuk. II).

Ks. Władysław Czencz T. J.



Po raz pierwszy w latach grabieży i niepokoju wojennego, w dziesięć lat po maturze, przybyłem do Konwiktu... W przeciągu tego dziesięciolecia ileż wrażeń odczuła dusza, ileż zasad dawnych dojrzało i utrwaliło się w sercu i umyśle, ile powstało pojęć nowych, nieznanych. Młodociane konwiktowe lata jakże żywo tkwią jeszcze w pamięci, tak że zdaje mi się, że to wszystko wczoraj było...

Ile burz i nawałnic dziejowych przemknęło w tym czasie nad

Polską, zanim Bóg rozwiódł nad nią złote świty Zmartwychwstania, od 5. listopada aż po 27. października, kiedy to w królewskim zamku w Warszawie ujęli w swe ręce władzę rodacy.

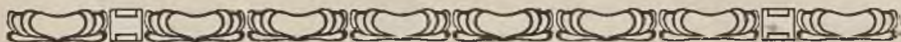
Wewnątrz Konwiktu ten sam wygląd zewnętrzny, to samo życia wewnętrzne w nim tętni. Gdym znalazł się przypadkiem wśród kroczących naprzód parami konwiktorów, prawie machinalnie iść począłem za nimi miarowym krokiem, tak żywo poczułem się znowu atomem chyrowskiego małego światka.

W sali rekreacyjnej Ojców poznaję niemal wszystkich dawnych profesorów i widzę z radością, jak trwa nieprzerwanie owa nić sympatyi, nawiązana niegdyś przez życzliwość i ofiarne poświęcenie z jednej strony, — przez przywiązanie i wdzięczność z drugiej.

Tylko z moich księży-prefektów żadnego niema obecnie w Chyrowie: jeden z nich poza granicami kraju, jeden aż na drugiej półkuli, a jeden już na drugim świecie. Wiemy to wszyscy dobrze, czem jest każdy ksiądz prefekt dywizyjny dla powierzonej sobie gromadki. Od rana do nocy na nogach: sypialnia i boiska, ślizgawka czy przechadzka, przy nauce i zabawie — on wszędzie spełnia obowiązek Anioła Stróża: ciężka jego praca, wielkie poświęcenie i zaparcie się siebie. Ten prefekt jest prawdziwym ojcem i przyjacielem, doradcą i powiernikiem, a w potrzebie nieraz orędownikiem i obrońcą, a jednak to wszystko, dopóki jesteśmy pod ich kierunkiem, tak nam się wydaje naturalne i takie powszednie, że zasługi i poświęcenie naszych drogich opiekunów możemy należycie ocenić dopiero po latach, gdy już życie późniejsze nauczy nas wydawać bardziej trafne i słuszne sądy o ludziach i rzeczach.

Już w wyższych klasach Konwiktu będąc, podziwialiśmy z poważniejszymi kolegami tę niewyczerpaną i wytrwałą cierpliwość dywizyjnych prefektów, ale obecnie, gdy mi żywiej stanęła przed oczyma praca Ojców w Konwikcie, zwracam się myślą z serdecznem uczuciem wdzięczności za wszystkie usiłowania i trudy, podjęte nad naszem wychowaniem, a zmierzające jedynie do tego, aby wyćwiczyć w nas nowy zastęp rycerzy, oddanych służbie: „Deo, Patriae, Amicitiae“.

X. Jan Augustowicz.



Artur Zaremba Cielecki.

Uczucie najszlachetniejsze, najpotężniejsze, jakie nas ożywiać może i powinno, jest miłość. Kto kochać nie umie, nie jest godnym człowiekiem. Utrzymują, że bywa czasem miłość wybuchowa, do szału, gwałtowna, zapalna, powstała w jednej chwili, jakby iskrą elektryczną. Taka miłość nie uszlachetnia, lecz zaślepia; staje się bezmyślną, często plu-

gawą; przychodzi jak burza; to huragan uczuć, który łamie, niszczy a nie tworzy; to obłęd, to kaprys uczuć; od takiej miłości do nienawiści tchnienie jedno tylko. — Natomiast prawdziwa miłość rodzi się w naszem sercu spokojnie, rozsądek ją niańczy, powstaje cicho jakby iskierka rozniecająca płomyk, a ten stale wzrasta, aż wreszcie owładnie, jak istny pożar, naszem całem sercem, całą naszą duszą. Taka miłość nie przejdzie, jak niszcząca burza, ona goi wszelkie rany, osładza wszelkie życia chwile, jest życiodajną, twórczą i stać się może nieskończenie potężną i trwałą.

Najszlachetniejsza, najczystsza jest ta miłość, która ukochała najwyższą prawdę, najwyższą mądrość, źródło wszelkiego dobra i światła, tego ducha Bożego, to pierwsza cnota teologiczna. Kto ukocha całem



Dr. G. ZAREMBA.

swem jestestwem Boga, ten stanie się czynnym wyznawcą świętej wiary Syna Bożego, ten ukochać musi i bliźnich. Ten tą miłością zbuduje ognisko domowe, skojarzy serca, stworzy rodzinę, ogrzeje całe swe otoczenie, ten potrafi być też przyjacielem. — Tą miłością, opartą na najwyższej prawdzie, odrodzi siebie w przyszłych pokoleniach.

Po Bożej miłości najszlachetniejszem uczuciem jest miłość Ojczyzny. Bo też Ojczyzna, to nietylko ojczysta zagroda, urodzin naszych kolebka; to nietylko ta ziemia, dobroczynna karmicielka od wieków naszego narodu, która wszystkie minione pokolenia tuliła do swego łona i nasze serca po życia wędrówce ukoi. Ojczyzna to zbiorowe pojęcie wszystkiego, co nam najdroższe, to mowa dźwięczna nasza, oświaty narodowej pochodnia, tradycya narodowa, przeszłości sława.

Kto Ojczyzny nie kocha, to potwór. Ale ta miłość musi być żywa, twórcza, a przy tem rozsądna, rozumna.

Prawdziwa miłość daje myśli swobodę, sercu użycie, sumieniu pokój, po znoju wytchnienie — a w życiu narodów daje wolność i pokój. Wrogiem prawdziwej miłości zawiść, gniew, złość, — jej objawem zbrodnia, mord, w świecie niewola i wojna, — to dzieci szatana, i z niebiosów strącone anioły.

O, Wszechmocny, zmiłuj się nad katusze cierpiącą ludzkością, nad naszym narodem! Spraw, aby szpony szatańskie nie rozrywały dalej tych milionów krwawiących serc nieszczęśliwych matek, żon i sierót, spraw Boże, aby ludzkość oprzytomniała, aby Europa nie popełniała dalej samobójstwa, daj, aby nie złość szatańska, ale miłość Boża, a z nią pokój w świecie zapanowały!



W czasie obecnej wojny światowej naród nasz święci różne pamiątki. Czyny orężne doby dzisiejszej przechodzą do historyi, obok szeregu rocznic dziejowych, wielkich wydarzeń politycznych, znaczyć będą ślad dążeń krwawych do wolności. Naszych świąt narodowych, otoczonych wieczną glorią i czcią w sercach Polaków, dziś wiele naliczyć można; święcą je rodziny i całe społeczeństwo, zespolone razem w wielkiej chwili odbudowy kraju i nowego życia narodowego.

O innej rocznicy myślę dzisiaj, — nie tej, co zespala naród w jeden wielki ogień patryotyzmu, nie tej, pod znakiem święta całej społeczności polskiej — lecz tej, która przechodzi prawie bez echa, ale znana i odczuwana gorąco przez nas wszystkich Chyrowiaków. Bo oto w tym roku przypada 25-ta rocznica istnienia naszego pisma, naszego łącznika duchowego z Zakładem i Kolegami, rocznica dla nas doniosła, nasuwająca szereg myśli o przeszłości.

Nie po dziennikarsku pojmuję tegoroczny jubileusz naszego pisemka; bez życiorysów tych wszystkich, co się zasłużyli i całe lata pracowali nad jego rozwojem, nazwiska ich znane dobrze każdemu, a ich zasługa żywa i starannie z czcią przechowywana w sercach tych, co z hasłem: Deo — Patriae — Amicitiae — poszli w życie z murów Zakładu.

Ćwierć wieku upływa od tej chwili, kiedy w Chyrowie wyszedł z pod pióra prawdziwie ojcowskiego pierwszy numer naszego Kwartalnika i rzucił hasło, jako myśl przewodnią i pracy „Deo — Patriae — Amicitiae“ i odtąd ten potrójny symbol pozostał aż do dnia dzisiejszego, jako hasło każdego, co w granatowym mundurku w murach Zakładu kształcił umysł i wolę pod Waszem kierownictwem.

Dziś całe falangi naliczyć można braci naszej, której słowo „i ja kończyłem w Chyrowie“, wypowiedziane z ust nieznajomego dotąd młodziana, otwiera serce i z nadziemską siłą zakłada jakby spoidła przyjaźni, jakiej się nie spotyka nigdzie i nigdy. To zasługa w wielkiej mierze naszego organu konwiktowego, przez stałą łączność z całym zastępem bratnich dusz, rozsianych po świecie. Ten cel łączności pod hasłem „Deo, Patriae, Amicitiae“, tak znamiennie zarysowany, z taką pełnią prawdy rzucony w serca, nie może pozostać bez echa, on kruszy przesądy ludzkie, zwalcza niewiarę i ospałość, podnosi i uszlachetnia, dodaje sił, — jest czynnikiem jakby twórczym, podniecającym do pracy i walki nad sobą, do pracy organicznej i narodowych poczynań.

Niejednokrotnie w „korespondencyach przyjacielskich“ kolegów-Chyrowiaków czytałem cały szereg ustępów, które najlepszy dają dowód, że w porę rzucone światło prawdy nie gaśnie... Nieraz jak natrętna osa brzęczy mimo ucha, chwilowo zgłuszone inną nutą, ale prawda wydaje zawsze ton silniejszy, — ucho wytęża słuch, serce wchłania słowa, zasady, przekształca się duch, nawraca.

I za tę prawdę, którą głosi nasze pismo, za siłę i kierunek uszlachetnienia młodych dusz i tych, co od szeregu lat wyszli z murów Zakładu, należy się z okazyi 25-lecia, srebrnego jubileuszu naszej spójni koleżeńskiej, prawdziwa cześć tym, co w tej pracy dla dobra naszego Kwartalnika trwali, tym, co choć cegiełkę dołożyli do jego rozwoju, co prowadzili nas tą świetlistą drogą ideału „Deo — Patriae — Amicitiae“.

Feliks Markiewicz, Legionista.

Dr. Juliusz Bandrowski.

Przedewszystkiem niech mi wolno będzie złożyć najserdeczniejsze dzięki za prześliczny „Kwartalnik“. Podziwiam w nim zawsze „sui generis“ mistrzostwo redakcyjne w doborze, układzie i zharmonizowaniu bogatej zawsze treści w ów ton jednolity tak pełen miłości dla Boga i ludzi, tak podniosły religijnie i patryotycznie, tak nastrajający duszę, serce i umysł czytelnika, ton jedynie godny chrześcijanina, katolika i Polaka, dyapazon o czystym, szlachetnym dźwięku uczuć i myśli. Toteż każdego zeszytu Kwartalnika — jaka szkoda, że nie miesięcznika —

wyczekuję z serdecznem pożądaniem, a kiedy wreszcie nadejdzie, odkładam wszystko i czytam go jednym tchem od początku do końca i żegnam zawsze z żalem, że się już skończył.

Każdym też razem zazdroszczę wszystkim, którzy byli lub są wychowankami czcigodnych Ojców, którzy przeto doznają zawsze do końca życia ich serdecznej miłości, opieki, współczucia i pomocy, jako członkowie Sodalicyi i Związku Chyrowiaków. Widzę też z wielką pociechą, że tak podjętej pracy nad wychowaniem młodzieży towarzyszy stale błogosławieństwo Boże. To też daj, Boże, aby dzieło Wasze, Cz. OO., „crescat, floreat et multiplicetur“!

Osobiście widzę to błogosławieństwo Waszego wychowania na moim Tadziu, który wśród trzechletniej przeszło służby na frontach bojowych w Legionach, nietylko niczego nie zatracił z bogatego siewu Waszych czcigodnych rąk, ale go jeszcze bardziej przymnożył pouczającem życia doświadczeniem i ustalił sobie do potęgi dogmatu życiowego, któremu dał wyraz za pobytu na urlopie w słowach: „Ojcze drogi, nietylko wierzącym pozostałem jak dawniej, religijnym i czystym, ale bawiąc w Królestwie, na Wołyniu i Litwie, dopiero pojąłem, że pojęcie Polaka i katolika jest tak nieodłączne od siebie i tak spojone i zasadnicze, że wprost uważam, iż w jedności tych zasad, jak w ostoi nienaruszalnej, streszcza się pojęcie Polaka i Polski“.

Oczywiście proszę o Kwartalnik na przyszły rok i na przyszłe lata dalsze, dopóki Bóg życia mi pozwoli.

Gody *weselne* zbliżają ludzi do siebie, nieraz i takich, których okoliczności życia rozerwały, a cóż dopiero takich, którzy rodzinnych węzłów nigdy nie naruszyli... Gody *srebrne*, zacieśniające na nowo zawarte przed laty 25 związki, co próbę czasu zwycięsko przetrzymały, bywają w gronie rodziny jedną z najmilszych i najrzewniejszych uroczystości familijnych.

Gdy d. 19./XI. 1893 r., w uroczystość św. Stanisława Kostki, pojawiło się po raz pierwszy własne pisemko konwiktowe p. t. „Z Chyrowa“ i to illustrowane, — radości nie było końca, bo to była w istocie pierwsza próba związania tego, co się już przez lat 7 (od otwarcia Konwiktu) w świecie rozprószyło — pierwszy wysiłek, podjęty dla zjednoczenia tego, co sam tok życia rozrywa — szczęśliwa i błogosławiona myśl wytworzenia silnej „arki przymierza między dawnemi i młodszemi laty“, w której i wychowawcy i wychowankowie mieli troskliwie przekazywać swą „broń“ rycerską i „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“, aby z nich utworzyć silną, trwałą, ciągłą, dobrą tradycyę Zakładu — podwalinę rozwoju i tęgości każdej zdrowej ludzkiej instytucyi.

Właśnie w r. 1893, gdy „Z Chyrowa“ zaczęło wychodzić, i ja rozpoczynałem zawód nauczycielski i byłem świadkiem — jednym już z niewielu, co podówczas w Konwikcie pracowali — tych godów weselnych — tej wielkiej radości, jaka nas wszystkich wtedy przepełniała... A dziś, po 25 latach, gdy już wielu z mych kolegów odeszło po nagrodę do Pana za twardy trud życia — gdy już i wychowanków gromada wcale liczna wyprzedziła mnie na tamten świat — świadkiem jestem godów srebrnych, nie już wątłego pisemka „Z Chyrowa“, ale wcale dorosłego „Kwartalnika“, który przez ubiegłe ćwierćwiecze był wiernym towarzyszem wszelkich naszych nadziei i zawodów, smutków i radości, doli i niedoli, a nawet w tych krwawych czasach bezlitosnej wojny, co wywróciła do góry nogami nietylko polityczny „ład“ (?) Europy, ale wraz z nim i mnóstwo dzielnych, o potężne nieraz środki materyalne opartych ludzkich instytucyi, urządzeń, wydawnictw...

Czemuż zawdzięcza to skromne pismo swe trwanie i przetrwanie, jeśli nie onym wieczystym, nie dającym się niczem złamać ideałom: „Deo — Patriae — Amicitiae“, którym pozostało wierne przez cały czas wego istnienia?

Wszak kasa redakcyi często bywa pusta — wszak wydatki wydawnictwa wielekroć wzmożone w czasie wojennym, a ono mimo wszystko na posterunku trwa, z niego nie ucieka, broni go z powodzeniem! Bo tajemniczą sprężyną bytu tego pisemka, jego siłą trwania, jest zasada, że owo „Deo — Patriae — Amicitiae“ to świętość, „a świętości nie szargać, bo trza, aby święte były“ (Wyspiański, „Wesele“). Konrad z „Wyzwolenia“ modli się do Boga:

„Jest tyle sił w narodzie,
jest tyle mnogo ludzi...
niechże w nie Duch Twój wstąpi
i śpiące niech obudzi“.

A Zakład Chyrowski i związane z nim instytucye do tegoż celu dążą i dążyły zawsze, by tego Ducha Bożego — ducha wiary, ducha miłości Ojczyzny, ducha prawdziwej braterskiej przyjaźni i płynącej stąd solidarności w czynach i postępkach, w zasadach i ideałach, w uczuciach i dążeniach — zaszczepić we wszystkich, wyhodować i wśród powszechnego rozstroju, jaki wywołała w narodzie długowieczna niewola, hartownym jak stal uczynić. Wytrwałą sojuszniczką w tem szlachetnem dążeniu była dla Konwiktu Chyrowskiego ta nasza „Gazetka“ zawsze. Tym, co wyszedłszy z Chyrowa, nie zawiedli pokładanych w nich nadziei i walcząc nieraz z zapartym oddechem o skarby duszy, które w nich złożył, wytrwali w świętem wyznawstwie zasad, niezłamani żadnym ciosem — bywała cichym, lecz dobrze słyszanym głosem sumienia, krzepiącym i podnoszącym na duchu, a kojącym rany, zadane przez życie... Tym, co po wyjściu z murów Konwiktu dali się unieść

mętnym falom świata, może aż na przeciwny gdzieś brzeg wyrzuceni,— zmarnowawszy tam posag duchowy, który w Konwikcie zdobyli: tym marnotrawnym synom bywała ukochana „Gazetka“ niejednokrotnie karcącym głosem matki, co płacze i narzeka na niewdzięczność syna, ale nigdy mu nie złorzeczy, bo kocha — i nigdy o nim nie zapomina, bo mu dobrze życzy — i zawsze ku niemu wyciąga swe dłonie, bo pragnie go przycisnąć do serca i... uzdrowić...

Tak przez 25 lat spełniała gazetka dwa one poety przykazania: *„Niechże w nie Duch Twój wstąpi i śpiące niech obudzi“.*

Aż nadeszła ta wielka zawierucha w świecie, która jest kamieniem probierczym dusz i narodów, ich zasad, ich pojęć, ich ideałów i ich wartości. Obfite archiwum korespondencyi wojennej z wychowankami Zakładu, z którego jeno skromne ułomki na łamach gazetki się jawią, — pozostanie dla przyszłości nieocenionym zbiorem dokumentów historycznych, stwierdzających dowodnie, że się Konwikt na większości swych synów nie zawiódł, że po bohatersku nieraz pozostali oni wierni sztandarowi jego: „Deo — Patriae — Amicitiae“, że gazetka w tej zbożnej pracy niepoślednią ma zasługę.

Daj jej, Boże, doczekać końca krwawych zapasów i jutrzenki zmartwychwstania Ojczyzny, by mogła zwołać na wielki wiec rozproszone dziś po świecie rzesze swych szczerych przyjaciół, obliczyć bolesne straty i chwalebne trofea i ocalone snopy synów Polski i złożyć w gumnie wyzwolonej Ojczyzny na Jej wierną służbę i większą chwałę Bożą!

X. Romuald Koppens T. J.

Otrzymawszy dziś gazetkę, przypomniało mi się, że jestem Chyrowiakiem, a raczej nie to mi się przypomniało, bo o tem nie zapomniałem, ale mi się przypomniało, że jako taki powinienem też znowu coś o sobie napisać. Przypomniał mi o tem Ojciec w swoim artykule „Od Redakcyi“ i czułem, że się to do mnie stosuje, tak jakby to do mnie było pisane, chociaż mnie W. Ojciec na myśli nie miał, więc powiedziałem sobie „mea culpa“ i zaraz usiadłem do pisania.

Tak jak dawniej rzucałem się do „tego i owego“, tak teraz rzucam się zawsze najpierw na wiadomości o dawnych kolegach i gniewam się, że o tym lub owym tam nic niema i pomyślałem sobie, gdyby wszyscy koledzy byli tacy, jak ja, toby tych wiadomości wcale nie było. Muszę się jednak wpierw usprawiedliwić, bo pisze Ojciec, że niektórzy obawiają się, żeby czegoś z ich listów nie wydrukowano, i mimowolnie musiałem się zaczerwienić i oczy spuścić; ale na moje usprawiedliwienie powiem, że się nie boję, ażeby się koledzy o mnie

też coś dowiedzieli i żeby w gazetce coś o mnie napisano; tylko mam wogóle taki zabobonny strach przed dosłownem wydrukowaniem moich słów, gdyż nie mam do siebie zaufania żadnego i dlatego się wtedy też przestraszyłem, bo jeszcze nigdy własnych słów wydrukowanych nie widziałem i pisać nigdy nie umiałem.

W mojej służbie sprawia mi też największą trudność t. zw. „Militärgeschäftsstil“, pisanie „Dienststücków“, ale Bogu dzięki mało mam z tem na razie do czynienia.

Nasamprzód muszę pomyłkę sprostować, wynikającą tylko z mojej winy, bo tak mało dawałem o sobie znać, że nie jestem na łodzi podwodnej, jak w gazetce wydrukowano, coby mi wprawdzie wielki zaszczyt przynosiło, tylko na zwyczajnej łodzi torpedowej nadwodnej. „Tb.“ nie znaczy „Tauchboot“, tylko „Torpedoboot“, a łódź podwodną oznacza się przez „U-boot“. Swoją drogą wolę nawet być na łodzi nadwodnej, bo mam tu o wiele wygodniejszą i przyjemniejszą służbę, a nawet po części bardziej zajmującą. Na łodzi podwodnej jest bardzo ładnie w gazetach, kiedy się codziennie 20.000 ton zatapia, ale nie w rzeczywistości, kiedy się tygodniami całymi na pełnem morzu leży na stanowisku i albo się ma szczęście i coś się raz przyłapie, albo też nic. Jeść można tylko konserwy, a myć się wodą morską. Powietrze w takiej łodzi nie jest wyśmienite, a brak rozmaitości, ludzi, lądu i to ciągłe oczekiwanie i uważanie jest bardzo wyczerpujące i działające na nerwy. Obecnie jestem znowu z moją łodzią w Poli, bo naprzemian połowa flotylli jest w zatoce Kotorskiej. W Poli jest ładniej, bo przecież więcej jest rzeczy, które środkową Europę i cywilizacyę przypominają, a co najważniejsza, można się prędzej na urlop dostać, a to najważniejsza rzecz. Jeździmy dość często, mniej więcej co czwarty, piąty dzień, ale taka jazda rzadko dłużej trwa, jak 24 godzin i ja lubię tak jechać. Stoi się na moście („Kommandobrücke“), na świeżem powietrzu i jeździ się szybko, bo taka łódź jeździ z szybkością 28 mil morskich na godzinę, co odpowiada mniej więcej 51 km.

Mój komendant jest Polakiem z Czerniowiec, wychowany po polsku, ale już słowa po polsku nie umie, oprócz „psiakrew“ i mówi wiedeńskim akcentem, ale jest bardzo miły i przyjemny. Oprócz komendanta jest jeszcze dwóch oficerów na takiej łodzi, to jestem ja i jeszcze jeden i oprócz tego załoga, składająca się mniej więcej z 50 ludzi. Taka nowożytna łódź nazywa się wprawdzie łodzią, ale jest właściwie okrętem o 300 t. pojemności, ma dwie maszyny (turbiny) o 5000 koni parowych, dwa kotły, jeden na węgiel, a drugi na naftę. Bronią naszą są cztery torpedy i dwa działa 7-centymetrowe i oprócz tego różne bomby na łodzie podwodne. Zajęciem mojem jest nawigacya „rezerwaty“, stacya radyotelegraficzna, administracya i kasa okrętowa, to znaczy, że właściwie nie mam nic do roboty w porcie, za to na morzu mamy dość ciężką służbę, bo muszę naprzemian z drugim oficerem wartę trzymać,

a że przeważnie w nocy jeździmy, więc to jest dość trudne i nużące i trzeba bardzo uważać. Kapitan ma za wszystko odpowiedzialność, dlatego przeważnie zawsze jest na moście na morzu, a przy trudniejszych manewrach osobiście obejmuje komendę.

Jestem teraz już przeszło rok na mojej łodzi i zupełnie zadowolony z mojej służby, bo w każdym razie lepiej, niż gnić na dużym okręcie. W styczniu dostanę się prawdopodobnie do kursu specyalnego i zostanę w tym celu przeniesiony na duży okręt, ale po ukończeniu tego kursu mam nadzieję znowu dostać się na łódź albo na mały krążownik. W Poli u nas nudno, jak zawsze, bo ludzie są wyewakuowani i niema żadnego towarzystwa, tylko podczas pełni przychodzą zawsze lotnicy włoscy nas odwiedzać, zamieniają Polę bombami w gruzy i dziwią



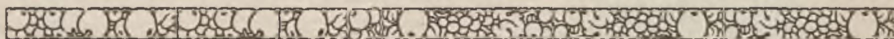
X. Dr. E. JEŁOWICKI

się na drugi dzień, że Pola znowu odbudowana tak, jak dawniej. My do nich strzelamy z tysiąca armat, aleśmy dotychczas żadnego nie strącili, więc kończy się ta heca na pięknem widowisku. Polaków jest tu mało, a przy marynarce prawie żadnego Polaka niema, tylko przeważnie przy wojsku lądowem i inżynierowie; jest nas razem coś około 20-tu, ale trzymamy się bardzo solidarnie i na polskiej rozmowie nam nie zbywa. Schodzimy się też czasem razem na wspólne kolacye, a że wśród nas artystów różnego rodzaju nie brakuje, więc czasem wcale miło przepędzamy ten czas. W sierpniu byłem na urlopie w Zakopanem i pierwszą znajomą osobą, którą widziałem zaraz na stacyi, był ks. Gruszczyński, ale nie mógł mnie poznać, musiałem się dopiero przedstawić. W Zakopanem spotkałem też paru dawnych kolegów z Chyrowa.

Z nieprzyjacielem nie spotkałem się ieszcze nigdy tak, żeby się z tego jakaś bitwa wywiązała; mnie się zdaje, że to już jest mojem przeznaczeniem nie być w żadnej bitwie, bo zdaje się, że niema drugiego, któryby był prawie dwa lata na łodziach torpedowych, a jeszcze nie strzelał. Ale pomimo tego dali mi „Signum laudis“ z mieczami „für vorzügliche Dienstleistungen vor dem Feinde“. Raz jedyny dymiliśmy na siebie, ale zanimeśmy byli na „Schussdistanz“, musieliśmy nawrócić, bo się jednej z naszych łodzi maszyna popsuła, a widząc to Włosi, też odwrócili. Dlaczego, nie wiem!

Posyłam dwie fotografie, jedną mojego dawnego okrętu dreadnoughta „Prinz Eugena“, a drugą mojej teraźniejszej łodzi torpedowej na pełnem morzu.

Antoni hr. Ledóchowski.



Zaszumiały hale, lasy,
Leć, sokole, w kraj daleki,
Już minęły dobre czasy,
Odpłynęły, jakby rzeki.

I nie wrócą, aż za laty,
Tak do miasta, jak do chaty,
By swobodę nam przywrócić
I tryumfu pieśń zanucić.

Więc też zbieżmy się do koła
I jednością połączeni
Wznieśmy w górę dumnie czoła,
Bo tak będziem wyzwoleni.



T. BRAUNEK.

* * *

Jak głucho dźwięczą te tony z oddali...
Strapiona dusza do niebios wzlatuje,
A z nią i serce razem się żali
I przestrach straszne obrazy maluje.

Obrazy zgrozy i potężnej siły,
Co już gromami swojego imienia
Godzinę zemsty wszechświatu wybiły,
A potem jego godzinę zbawienia.



To sen, czy jawa, czy marzenie
Z pozagrobowych światów do mnie wzlata,
Jak straszna mara i anielskie pienie,
To znów, jak gdyby kościotrupia szata.

O, nie! to piosnka, słyszana przed laty,
Gdzieś z pól rozległych i borów szerokich,
Lub słomą krytej, ubożuchnej chaty,
Podpartej przez kilka sosen wysokich.

To głos z Ojczyzny! Hen gdzieś z mrocznej dali.
Tam, gdzie się toczy bój srogi, zacięty,
Gdzie niezachwiana potęga Moskali
Wprowadza Polskę w srogie dla niej pęty.

To krzyk rozpaczy nieprzepartej siły,
Który, wydarty gdzieś z cmentarzy łona,
Leci nad ciemne, wysokie mogiły
I o północy na ich krzyżach kona.

I coraz ciszej brzmi ta straszna nuta,
Aż wreszcie milknie, do serca przykuta.

ST. MYSZKOWSKI.

* * *

Smutki i bóle i skargi i łzy
Na świecie nigdy nie zginą,
I choć nie widzisz, jak serce drży,
Wciąż płyną, płyną i płyną.
I jak cieniutka nić pajęcza,
Co w dal ucieka szybko hen!
Tak w życiu złudna szczęścia tęcza
Wnet nam uleci, jakby sen.

J. L.

* * *

Od lat szeregu pasmem nieprzerwanem
Szarpały duchem moim jakieś żale,
Jakieś tęsknoty za czemś ukochanem,
A tak dalekiem i nieznanem wcale,
Jak gdybym cicho gdzieś w wieczorną chwilę

Szeptał modlitwę, której mnie uczyła
Matka, oddawna śpiąca już w mogile,
Co łzy po sobie dziecku zostawiła.
I w marzeń błędnem, zaklętem kolisku
Po beznadziejnej melancholii drodze
Dniem się i nocą błąkałem i blizką
Rozpacz widziałem i więdnąłem w trwodze.
Ale gdy mary te się przesiliły,
Bóg mię nawiedził jednego wieczora —
I górne myśli we mnie się zrodziły
I wniebowzięta była dusza chora.
Ale gdzieś w szlakach słonecznych promieni
Skąpana w blasku Boga majestatu
I przeniknięta blaskiem aż do rdzeni
Odżyła — i znów podobna do kwiatu
Girlandą myśli, jak bluszczem, spowita,
Powietrzną jazdą w błękitach wzmocniona
Wróciła do mnie. A odtąd nie skryta
Już przed mem okiem tajemnic korona,
Bo tam na szlakach pramyśli żywotnej
Źrenice duszy mojej się otwarły:
Widziałem cel mój i mój trud stukrotny,
A nawet głębiej i dalej się wdarły
Szpony mej myśli, tak jako kotwice
W dno morskie stalnem wpijają się ciałem,
Bo przeniknąłem świata tajemnicę,
I myśli serca — Boga zrozumiałem!

* * *

Lecz po tej chwili w sercu udręczonem
Nie stało mocy, aby się utrzymać
Na stanowisku od Boga znaczonem
I na popędy szturmów się nie zżymać.
Gorączka świata znów mnie ogarnęła —
Mój duch się znowu wahał na dwie strony,
Lecz strona niższa nad nią górę wzięła,
A duch się ugiął i kark swój schylony
Poddał pod ciężkie jarzmo zapomnienia.
Ale okropnie cierpiał w tych okowach,
Bo często straszne jęki i westchnienia
Grały w napozór obojętnych słowach.
Lecz Bóg raz jeszcze swą litość nademną
Okazał — duch mój podniósł bowiem czoło.

I oto Bożą moc uczułem w sobie,
Abym do Pana nawrócił się szczerze
I niepoddany już ziemskiej chorobie
Stwierdził czynami, co kocham, w co wierzę.
I odtąd widzę jeden cel wytknięty,
Co mi rozświeca wieczności przestrzenie,
Jeden ideał, przemożny, prześwięty,
Jak anioł czysty: ducha wyzwolenie!
I pójdę za nim — pójdę — będę wielki!
Jako posągi królów-duchów dumny.
Śladem pramyśli duchów, Rodzicielki,
Pójdę przez bole, przez krzyże, przez trumny...
Tak! Wielkim będę! — Z niesplamioną księgą
Życia — tam pójdę, gdzie dziś duchem sięgam.
A żeś mnię wspomógł dwakroć Twą potęgą —
Ja Tobie dzisiaj to Panie — przysięgam!...

Chyrowiak.

Przeczytawszy zeszyty Kwartalnika, bardzo się ucieszyłem, że Konwikt, mimo tej światowej zawieruchy, pomyślnie się w dalszym ciągu rozwija. Czytając listy młodszych Kolegów, którzy zostali zaciągnięci pod sztandary w dzisiejszej wojnie, przypomniałem sobie czas, w którym chociaż nie byłem w wojsku, jednak mieszkałem na froncie. Niestety, był to czas długi i ciężki, gdyż operacye wojenne przesunęły się w naszą okolicę w początkach października 1914, a ustąpiły dopiero 17. lipca 1915, po cofnięciu się Rosyan pod Warszawę. Dwa razy moje Studzienice znajdowały się pomiędzy walczącemi ze sobą armiami, a każdorazowy okres trwał po dwa tygodnie. Pierwszym rasem w październiku, gdzie siły były jeszcze mniejsze, drugi raz od 16. listopada do 9. grudnia, gdzie mieliśmy do czynienia już z regularnemi nowoczesnemi armiami.

Przyjemności takiego położenia nie będę opisywać, gdyż to trwałoby za długo, sądzę jednak, że z tych niebezpieczeństw wyszliśmy jako tako i cało, a to dzięki opiece N. Maryi P., która w mej wsi ma parę przybytków, gdzie cześć odbiera. Dopiero 9. grudnia 1915 r. armia niemiecka w znacznej ilości posunąwszy się o parę wiorst naprzód zasłoniła nas i już do końca nie przepuściła armii rosyjskiej do nas. Jednak sąsiedztwo nie było zbyt dalekie, bo od wschodu główna linia bojowa od mojej wsi była o 20 km., a od północy zaledwie o 5 km. Szczęściem dla nas, że ta ostatnia była dosyć martwa, mimo to mieszkałem wśród fortyfikacyi niemieckich, któremi byliśmy zewsząd opasani. Na polach

razem gospodarowaliśmy z wojskiem: oni okopy i fortyfikacye wciąż nowe wznosili, myśmy zaś uprawiali ziemię, siali i zbierali plony. Przez parę miesięcy byliśmy pozbawieni pomocy duchowej, a przez cztery miesiące nie można było się nigdzie ruszyć w obawie, aby wyjechawszy z domu, nie módz do niego wrócić. Wśród tych smutnych i ciężkich chwil jaśniejsza nastąpiła, gdy jedna kompania robocza przybyła, w której było 250 Poznańczyków. Kompania ta u mnie mieszkała aż 9 tygodni. Przybyli przed świętami wielkanocnemi i objawili służbie życzenia, że byłoby im bardzo przyjemnie, gdyby mogli się podzielić jajkiem święconem ze mną. Po uzyskaniu pozwolenia od ich naczelnika w wielką sobotę złożyliśmy sobie wzajemne życzenia, które nas wszystkich bardzo rozrzewniły.

Przyszedł miesiąc maj. Mam na wzgórzu naprzeciwko folwarku kapliczkę z obrazem N. M. P., gdzie każdego roku odprawiamy z ludnością nabożeństwo majowe; i wtedy nie zaniedbaliśmy tego zwyczaju, a ponieważ to nabożeństwo odbywa się pod wieczór, więc żołnierze wolni od zajęć licznie przychodzili na takowe, biorąc udział w naszych modlitwach i śpiewach. Ta kompania, złożona przeważnie z Poznańczyków, bardzo dodatnie robiła wrażenie.

We wrześniu przyjechał do mnie na parę dni dr. Gustaw Zaremba z Warszawy, który mi dużo opowiadał o Chyrowie. Bywając też w Warszawie widuję się z Eustachym Szymanowskim, który też mnie przed paru miesiącami odwiedził. Tamtego zaś roku i w tym roku spędził u mnie wakacye X. Prałat Gnatowski, wielki OO. przyjaciel i uczeń z Insbruka.

Polecając się modlitwom Waszym, donoszę, że d. 8. grudnia, jak to bywało i ubiegłych lat, powtarzając śluby sodalicyjne przed Komunią św., będę się zwracał myślą do Chyrowa i łączył się z wami u stóp Niepokalanej Panny i Królowej Korony Polskiej.

Wiesław Skarzyński.

W mojem życiu w niewoli włoskiej zaszły pewne zmiany. Nauczyłem się już po włosku i zaawansowałem na tłómacza. Z początkiem lipca wyjechało z naszej wysepki Asinara 300 ludzi do Cagliari, stolicy Sardynii. Po kilkunastu dniach porobiono partye do robót, a jednoroczniaków przeznaczono na tłómaczy i do prowadzenia kancelaryi.

Pojechałem między nimi i ja i powodzi mi się wcale nieźle, w każdym razie lepiej niż na Asinarze. Za robotę w kancelaryi mam być płatny po 50 cent. dziennie. Cieszę się i z tego, bo tu choć trochę świata i ludzi się widzi, a na Asinarze (wysepka 32 km.) same skały. Myślałby kto, że tam przynajmniej osłów dużo, ale bynajmniej. Wpra-

wdzie i tu styczności prawie że niema z ludnością cywilną, gdyż chociażbym chciał mówić, nie potrafiłbym, gdyż oni mają zupełnie odrębny dyalekt, który ledwie Włoch zrozumie: mieszanina włoskiego, łaciny, hiszpańskiego i francuskiego.

Ucieszyłem się wiadomością, że Ojciec umieścił mój poprzedni list w Kwartalniku, ale smutne to, że ja go nie ujrzę, gdyż druków nie przyjmuje poczta „Czerwonego Krzyża" dla jeńców, a z tego powodu pewnie nie otrzymam skryptów do nauki, za którymi już tak tęsknię. Rok minął stracony dla mej przyszłości. Miałem też list od Danielewicza ze Szwajcaryi, w którym mi donosił, że Schabenbecka powołano do wojska i ma się stawić w Insbruku.

Serdeczne pozdrowienia wszystkim Ojcom i Kolegom zasyłam.

Witold Wojnarski.



Znalazłem się znów jako kapelan 3. p. p. Legionów w Kocmaniu, małem miasteczku, dziś prawie pustem. Wracam jednak do ubiegłych miesięcy. Gdyśmy w pierwszych dniach września zebrali się w Przemyślu, postanowiłem znów Chyrowiaków jakoś zebrać. Spotkałem bawiącego na urlopie por. Juliusza Styfiego, Braci Świeżawskich i kilku Chyrowiaków i obraliśmy sobie punkt zborny. Odtąd we czwartki w kawiarni „Elita" najczęściej bywali: Major Dunikowski, por. T. Dębski, Sulerzyski, Dr. W. Ruebenbauer, K. Bielawski, St. Górkiewicz, W. Zieleniewski, Br. Markiewicze, S. Strzelecki, E. Proń, T. Sochacki i kilku innych. Chwile razem spędzone do bardzo miłych należały i bodaj przez tych parę godzin żyło się w atmosferze szczerze koleżeńskiej, prawie rodzinnej. Załatwiało się wiele spraw najrozmaitszej natury tak, że ktoś dowcipnie nazwał te zebrania „aprowizacyjno-zawodowo-protekcyjno-handlowo-pieniężno-towarzyskie" byłych Chyrowiaków. Z chwilą mego wyjazdu przybyła do Przemyśla artylerya Legionów, więc też, jak mi doniesiono, przybyło kilku nowych uczestników zebrań w „Elicie".

Tutaj też zaprojektowaliśmy wycieczkę wspólną do Chyrowa. Była to prawdziwie taka „konwiktorsko-leguńska“ wycieczka. Pozwolenia na wyjazd z Przemyśla nikomu nie chciano dać. Więc na los szczęścia jedziemy: w niedzielę 14. paźdz. o godz. 12. zbiórka na dworcu. Ja miałem nabożeństwo uroczyste w katedrze dość późno, więc przebrawszy się prędko, pędzę na dworzec i znajduję naszą gromadkę. „No, chodźmy!“ — „Nic z tego, odpowiadają, nie pojedziemy, pociąg nie jedzie“. Istotnie, w ostatniej chwili odwołano pociąg jadący do Chyrowa. Ale my nie tracimy rezonu. Dowiadujemy się od urzędnika, że może z Bakończyc będzie jechać towarowy pociąg, więc dalej do Bakończyc. Tu stoi jakiś transport wojskowy. Wysyłamy kol. Sulerzyskiego, jako że jest c. k. oficerem, aby pomówił z komendantem transportu. Komendant zażądał legitymacyi. Nie mamy „marszruty“, ale każdy coś wyciąga: ten starą przepustkę, że poza godz. 9. może być na mieście, ten kartę żołdu, inny, co znalazł w kieszeni i notesie. — Ale dobrze, zgoda, legitymacye przyjęto, siadamy i jedziemy. Spóźnieni, bo dopiero koło g. 4. stanęliśmy na Posadzie Chyrowskiej, gdzie ku naszemu zdziwieniu czekał na nas Dr. Ausobsky i X. Bzowski. Podążamy do Konwiktu, gdzie wita nas X. Rektor i inni księża. W jadalni już na nas czekał obiad, w czasie którego gwarzyliśmy z dawnymi profesorami o wojennych losach dawnych uczniów i kolegów. Po wieczornem nabożeństwie wzięliśmy udział w przedstawieniu Kościuszkowskiem, a po herbatce czas było myśleć o powrocie. Teraz powrót ułatwił nam p. Naczelnik Sochacki i około północy, otrzymawszy „salonkę“ w towarowym pociągu, wracaliśmy do Przemyśla. Wesoło nam było, śpiewaliśmy całą drogę, bo człowiek odmłodniał, zobaczywszy miejsce, gdzie młodym był...

O tej wycieczce napisał potem Kol. Feliks Markiewicz wesołe wspomnienie w formie protokołu z rozprawy sądu wojennego i przysłał je po przeczytaniu w „Elicie“ na wieczną rzeczy pamiątkę do Redakcyi Kwartalnika.

Tu w Kocmaniu lub jego okolicy znajdują się obecnie z Chyrowiaków: Z. Miczyński, T. Chmielowski, K. Bielawski, Z. Łubkowski, T. Dębski, T. Graff, T. Bandrowski, może są i inni, alem ich jeszcze nie spotkał. Mam tu nieco pociechy, bo codziennie i na Mszy św. i na wieczornem nabożeństwie dość legionistów bywa. Zamyślam założyć wśród nich Sodalicyę, choć nie wiem, czy mi się to uda. Pięknieby to było, aby wojsko polskie z ryngrafami Maryi wracało do kraju z wojny. Módlcie się, aby się to udało.

23./XI. Wczoraj tutaj przybyliśmy na nasze dawne II. Brygady pole. Dziwne wrażenie zrobiła ta wieś; szukałem kwatery. „A tutaj mieszkał u mnie także kapelan Legionów przed dwoma laty“ — mówi kobieta i zaraz znosi kilimy i werunie, by zaścielić izbę. Okienka mej chaty wychodzą na groby Wąsowicza, Chyrowiaka Kisielnickiego i innych

poległych pod Rokitną. Jestem tu sam jeden na dwa pułki; nie wiem, jak będzie z nabożeństwami, bo w kościele zrobili Niemcy magazyn amunicyi, w cerkwi jednej kasarnię żołnierską, w drugiej zaś unickiej rozsiadł się pastor. Wstrętne to! Trzeba będzie coś wywalczyć i w jednej z cerkwi celebrować.

Inaczej to było w Kocmaniu, gdzieśmy poprzednio stali przez miesiąc; tam w kościele przystępował codziennie do Komunii św. Brygadyer Haller, a także i nieco żołnierzy; na legionowem wieczornem nabożeństwie miałem codziennie pół kościoła legionistów.

Sprawa założenia Sodalicyi postępuje naprzód pomyślnie. Oto jakie oświadczenie mają składać sodalisi polskiego wojska:

> „Oświadczam z zupełnem przekonaniem, że wstępuję do Sodalicyi M., powodowany szczerą intencyą służenia N. M. P. jako Królowej Korony Polskiej, a przez to Opiekunce również polskiej siły zbrojnej, broniącej praw tej Korony i przyrzekam w tym celu wypełniać wszystkie obowiązki Sodalicyi, bym przez to mógł wysłużyć u Boga błogosławieństwo dla mej polskiej Ojczyzny, a sobie szczęśliwą śmierć w łasce u Boga. Amen“.

Ks. Kazimierz Konopka T. J.



Dr. J. GOŁBA W UFIE.

Przedewszystkiem dziękuję za przysłany Kwartalnik; jaka szkoda, że go nie można przesłać do Rosyi: ile czarnych myśli to przemiłe pisemko odpędziłoby mojemu biednemu mężowi w niewoli.

Od czerwca b. r. został mąż przeniesiony z Ufy do obozu jeńców w Orenburgu; obóz jest już w Azyi, oddalony o 5 km. od miasta wśród pustyni i piasków. Jest to olbrzymi czworobok parterowy, którego okna wychodzą na wewnątrz, a mieszkania te zajmują oficerowie. W środku na podwórzu są baraki dla 3000 żołnierzy i cerkiew prawosławna. Upały dochodzą tam do 43 stopni R., a z tego powodu w lecie chodzili tylko w bieliźnie, a po nocach spać nie mogli. Piasek wszędzie się wciska za najmniejszym podmuchem wiatru, więc mają go w ustach, w oczach, nosie, na pościeli — słowem, wszędzie.

W lipcu rozchorował się mąż na zapalenie gardła i nosa. Następnie zachorował na tyfus; lekarz zrazu leczył go na febrę, przepisując chininę, lecz gdy skutku nie było i dalej gorączkował, rozpoznano wtedy tyfus. Przez 4 tygodnie leżał w gorączce, a o tych czasach pisze: „Przekonałem się w ciągu mojej ostatniej czterotygodniowej choroby, że nic gorszego zdarzyć się człowiekowi na świecie nie może, jak choroba na obczyźnie, wśród obcych ludzi, tak że człowiek czuje się wtedy opuszczony, przygnębiony, osamotniony, że każda chwila wydaje się i jest rzeczywiście męczarnią, wprost żyć się nie chce. Ani jednej przyjaznej twarzy, ani jednego ciepłego słowa; lekarz po 5-cio minutowej wizycie odchodzi, pozostaje obca twarz dozorcy i czarne myśli. Co przez moją rozpaloną głowę przeszło różnych dzikich myśli w ciągu tych 4 tygodni! Dziś odżyłem trochę, widok ludzi ruszających się obudził mię z letargu“.

Obecnie Józio jest zdrowszy, ale bardzo osłabiony, a ogromna tęsknota podkopuje wątłe jego ciało. Z tych więc powodów chciałabym, aby go można uwolnić z niewoli w drodze zamiany, tembardziej, że znam dwa wypadki powrotu jeńców i to nie kalek, lecz chorych wskutek klimatu Rosyi. Pisałam do szwedzkiego „Czerwonego Krzyża“ i do polskiego biura pomocy dla jeńców. Z tego ostatniego otrzymałam odpowiedź i to od Kolegi męża z Chyrowa, Dra Michała Rudowskiego, który obiecuje zająć się tą sprawą. Na razie będzie się starał o przeniesienie męża do zdrowszej okolicy i w lepsze warunki egzystencyi, a potem będzie robił kroki, aby umieścić męża na liście do wymiany.

Jadwiga Golbowa.

Nad Soczą zachorowałem na tyfus, a ze szpitala wysłano mnie do Ischlu, skąd piszę, aby podziękować za gazetkę, którą starym zwyczajem zacząłem od końca czytać, ciesząc się, że się gazetka nawróciła do starej tradycyi, do „To i owo“. Artykuł „Odszukajmy się i policzmy“ wzbudził we mnie, a pewnie i w każdym z Kolegów podziw ogromny. Jest dzieło nielada, choć na kilkunastu stronach tylko — zebrać dziś

w tem rozproszeniu wiadomości o 700 Chyrowiakach. Wdzięczni też musimy być wszyscy W. Ojcu za tę mrówczą pracę i oddanie się sprawom Związku. A jeśli nawet ta zawierucha dziejowa owoców tej pracy nie zniszczyła, to jest rękojmia, że po wojnie wydadzą one tem obfitszy plon.

Dziękuję serdecznie Chyrowskiemu Kołu Tow. P. Skargi za przysłane broszury, które po przeczytaniu oddałem do biblioteczki, którą zawiaduje X. Kokta, zastępujący kapelana. Z frontu włoskiego przybywa tu wciąż wielu żołnierzy Polaków. Mówił mi ten ksiądz, że żołnierze zaraz te broszury rozebrali, gdyż były dla nich odpowiedniejsze, niż wielkie książki z biblioteki. Teraz muszę się jeszcze o jedno wystarać, a mianowicie, ażeby w niedzielę i święta mogli wszyscy na Mszę św. chodzić, gdyż tu panuje dziwny zakaz, że rano nie wolno nikomu wychodzić ze szpitala.

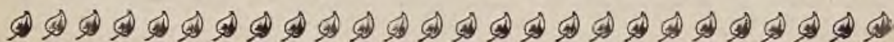
Z gazetki widzę, że brat mój, Tadzio, nie dał tym razem nic znać o sobie. Otóż był on teraz dwa miesiące na rekwizycyach w Czarnogórze, gdzie, zdaje się, tylko kukurudzę znalazł. Teraz do Cetynii wraca przez Serbię, chcąc ją zwiedzić.



X. A. DOBIECKI

Ja wkrótce pójdę do kadry, skąd będę się starał o urlop, a po Nowym Roku pójdę po wawrzyny, o ile tylko mocarstwa będą czekać na mnie i nie zakończą wojny jeszcze tego roku. Podpisany akt sodalicyjny wysyłam, załączając nowym sodalisom serdeczne życzenia, lecz może mi się uda być w tym roku w Chyrowie d. 8. grudnia.

Jan Lubaczewski.



„Kwartalnik Chyrowski“ czytuję razem z mężem i córkami od czasu, jak mego Tadzia oddaliśmy do Chyrowa. Tadzio był jeszcze głupiutki, więc ja mu zbierałam wszystkie zeszyty, gdy je na wakacye do domu przywoził, a obecnie on mi je teraz z frontu przysyła i zawsze go czytujemy z wielkiem zainteresowaniem. Mąż często mawia, że Kwartalnik ma jeden błąd i jedną wadę, a mianowicie, że jest kwartalnikiem, a nie miesięcznikiem. Zajmowałam się kiedyś wydawnictwem, więc rozumiem, co to jest korekta i ile może drukarnia kłopotu i zmartwienia sprawić redakcyi, zanim się zeszyt ukaże, więc oceniam tego rodzaju pracę. Dziwi nas jednak, że pomimo takiej sympatyi, jaką się cieszy Kwartalnik wśród Chyrowiaków i ich rodzin, nie posiada on dotąd zabezpieczonej finansowej egzystencyi, ale i tu — widać — przejawia się polska wada niesystematyczności i braku poczucia obowiązku w regulowaniu zaciągniętych długów. Aby ulżyć w tej mierze redakcyi, wysyłamy skromną zapomogę w kwocie stu koron, załączając staropolskie: „Panie Boże zapłać!“

Matka Chyrowiaka.

Dowiedziawszy się, że o kilka kilometrów od Rohitsch, gdzie po tyfusie jestem na kuracyi, znajduje się cudowny obraz Matki B. Częstochowskiej, wybrałem się, aby go odwiedzić. Ponieważ zdaje mi się, że mało kto w Polsce wie o tem, spieszę, aby się z tem odkryciem z Kolegami podzielić. Korzystając z pięknej pogody, wybrałem się do słoweńskiej wioski Kostrewnica, gdzie ów cudowny obraz się znajduje. Ludność tej małej górskiej wioszczyny składa się ze Słoweńców, wśród których, jak wogóle u wszystkich Słoweńców Styryi, dopiero przed kilku laty ruch narodowościowy, patryotyczny się obudził. Znać jednak jeszcze liczne ślady z dawnego germanizowania ich przez Niemców styryjskich w mowie i zwyczajach. Kościółek parafialny murowany, pięknie na górze w pośrodku wioski położony, zbudowano w r. 1766. i cudowny obraz Matki B. Częstochowskiej w głównym ołtarzu umieszczono. Poprzednio znajdował się ten obraz w kaplicy św. Leonarda. Gościnny i uprzejmy proboszcz oprowadził mię po kościele i informacyi udzielił. Niestety, o historyi tego obrazu nie wiele wzmianek w kronikach parafialnych się znajduje. Obraz ten, wysokości metra, jest dokładną kopią naszego Jasnogórskiego. W połowie XVIII. wieku przywiózł go jakiś polski kapłan z Częstochowy i w kaplicy św. Leonarda umieścił, skąd go następnie do kościoła parafialnego przeniesiono. Obraz znany jest wśród okolicznych Słoweńców pod nazwą „Polske Matke Bože“ i jest przedmiotem gorącej czci i częstych pielgrzymek, czego dowodem zawieszone koło obrazu liczne wota.

Roman Maniewski.

Wspomnienie cnót, czynów i zasług skarbem jest narodowym. Uznanie i cześć przednich mężów — to nietylko obowiązek, lecz potrzeba społeczeństwa, to warunek sił i trwania; oni bowiem są, jak życia pochodnie, przez pokolenia sobie podawane.

W dzisiejszej chwili dziejowej, gdy wiekową chmurę niewoli przedarł promień nadziei, przy odgłosie wielkiej burzy wojennej, przewracającej ustrój polityczny całej kuli ziemskiej, Polska w czasie trwania jednego z największych kataklizmów, jaki zapisała historya, mistrzyni życia, Polska zmartwychwstająca obchodziła stulecie skonu jednego z najlepszych swoich synów.

W dniu 15. października minęło 100 lat, gdy na wolnej ziemi helweckiej zamknął oczy ten, który życie swoje całe poświęcił ukochanej Ojczyźnie.

Polakom w Szwajcaryi przypadła zaszczytna rola uczczenia pamięci Bohatera w kraju, w którym życie zakończył, a któremu serce swe na przechowanie przekazał. Obchód pojęto jako manifestacyę polsko-szwajcarską, a w dobie zmagania się potęg świata przypomniał on światu imię Polski, jako przewodniczki w walkach o wolność, i zacieśnił dawne węzły sympatyi, łączące najstarsze republiki europejskie, Polskę i Szwajcaryę.

W lipcu b. r. zawiązał się w Genewie Komitet pod przewodnictwem p. Piotra Kluczyńskiego; w prezydyum jego zasiadły tak wybitne osobistości szwajcarskie i polskie, jak René Claperède, Fazy, Demeuron, prof. Z. Laskowski, prof. Narutowicz, Antoni Osuchowski, a we wrześniu przyłączył się red. M. Seyda z Lozanny.

Część artystyczną obchodu powierzono kompozytorowi Henrykowi Opieńskiemu. Cała prasa szwajcarska, tak francuska, jak włoska i niemiecka, zajęła się żywo obchodem.

Dwa miasta w Szwajcaryi mają szczególniejszą łączność z tradycyą jaka do dziś dnia na wolnej ziemi Tella opromieniła imię polskiego bohatera: Solura i Rapperswil. W Solurze przeżył Naczelnik resztę swego życia, tam dom jego skonu i grobowiec na cmentarzu zuchwilskim; w Rapperswilu mauzoleum, zawierające serce jego, które przed 22 laty przywieziono z miejscowości Wecya koło Lugano.

W obydwóch miastach powołano do życia Komitety lokalne, złożone ze Szwajcarów. Na czele solurskiego stał burmistrz Hirt, na czele rapperswilskiego poseł Baumann.

Obchód rozpoczął się w sobotę 13. października w Rapperswilu. Miasto przybrało szatę odświętną. Na zamku, w którym, jak wiadomo, mieści się Polskie Muzeum Narodowe, powiewały chorągwie polskie. Z wieży zamkowej co godzina rozlegał się hejnał, ten sam, który wygrywa strażnik na wieży Maryackiej w Krakowie. Ważniejsze gmachy miejskie i port ustrojono również barwami polsko-szwajcarskiemi.

Rano we wszystkich szkołach odbyły się wykłady o Kościuszce.

Popołudniowe pociągi przywiozły do Rapperswilu tłumy Polaków i Polek ze wszystkich stron, wieczorem zaś odbyła się uroczysta Akademia.

Po odegraniu przez orkiestrę „Boże coś Polskę“ i hymnu szwajcarskiego, powitał zgromadzenie p. August Baumann słowami: „Witamy przedstawicieli narodu polskiego i przyłączamy się do nich, bo Kościuszko przypomina nam naszych Tellów i Winkelridów i godzien jest czci wszystkich narodów, które umiłowały wolność“. Ks A. Brändle miał do Szwajcarów przeznaczony odczyt o Kościuszce, a zakończyła wieczornicę część muzyczna.

Na drugi dzień, w niedzielę rano, odbyło się solenne nabożeństwo w kościele parafialnym, gdzie kazanie wygłosił ks. Brändle. Kulminacyjnym punktem obchodu był niezawodnie uroczysty pochód po południu.

Pochód prowadziła miejska orkiestra rapperswilska. Młodzież niosła państwową chorągiew szwajcarską, polską i sztandary wszystkich kantonów szwajcarskich, a delegacye wspaniałe wieńce.

Przy dźwiękach melodyi polskich i szwajcarskich pochód przeciągnął przez ważniejsze ulice miasta i skierował się w końcu do zamku. Przy wejściu powitał przybyłych dyrektor muzeum, p. K. Żmigrodzki, poczem przemówił w języku polskim p. K. Lutostański, a w języku niemieckim prof. Narutowicz, składając przedstawicielom narodu szwajcarskiego podziękowanie za hołd oddany polskiemu bohaterowi.

Następnego dnia, w poniedziałek 15. października, słota popsuła w pewnej mierze trzeci dzień obchodu kościuszkowskiego.

Siedząc w rannym pociągu, patrzono raz wraz z niepokojem w niebo. Ołowiane chmury spowiły niebo w całun beznadziejnej omroki. Mżył deszcz, zawiewał wiatr; było trochę jakoś posępnie. Niezbadana w wyrokach swych Opatrzność skazała nas na święcenie uroczystości wśród pluchy i ziąbu przenikającego do szpiku kości.

O godz. 9. pociąg przyjechał do Solury.

Solurę zwiedziłem po raz pierwszy jeszcze w lipcu bieżącego roku. Lato było wtedy w pełni i miasto inaczej wtenczas wyglądało.

W pięknym zaiście zakątku ziemi szwajcarskiej spędził Kościuszko ostatnie chwile swego życia.

Nie przypadek jednak go tu sprowadził, lecz zażyła przyjaźń z patrycyuszem solurskim i wielbicielem jego zasług i cnót, Zeltnerem, u którego mieszkał już poprzednio lat siedmnaście w osadzie Berville pod Paryżem.

Solura, licząca przed stu laty niecałe 3000 mieszkańców, dziś cztery razy tyle, leży w niezwykle uroczym zakątku, na tle malowniczego łańcucha gór Jurajskich. Otoczona zieloną wstęgą rzeki Aary, ze swemi staremi budowlami, po dziś dzień zachowała całkiem charakter prastarego grodu.

Miasto, położone w jednej z najcichszych okolic Szwajcaryi, nie mogło chyba nie nadawać się na miejsce ostatniego pobytu Naczelnika.

Znalazł więc tu Kościuszko kochające serca rodziny Zeltnerów, spokój pożądany po takiej długiej tułaczce i piękno przyrody, ten balsam ukojenia dla zawiedzionych tak ciężko, jak on w swoich nadziejach.

Dwa lata zbiegły mu szybko na dobroczynności i uczeniu małej Emilii Zeltnerównej. Niedługo korzystał Kościuszko z gościnności swych przyjaciół, gdyż po parodniowej zaledwie chorobie dnia 15. października 1817. roku umarł zdala od swojej umiłowanej Polski.

W dwa dni później pochowano go na cmentarzu w Zuchwilu, małej wiosce, leżącej koło lasu, niecałe 2 km. od Solury.

Po przybyciu do Solury zwiedzono muzeum, arsenał i dom Zeltnerów, na Gurcelgasse, przechowujący liczne relikwie, a następnie udano się na uroczyste nabożeństwo do kościoła katedralnego św. Ursyna. Mszę św. odprawił ks. prałat warszawski, Przeździecki, w obecności biskupa Stammlera z Bazylei.

Po południu tłumy publiczności utworzyły wielki pochód i ruszyły najpierw do domu, noszącego nazwę „Kościuszko-Haus“. Fasada przyozdobiona jest płaskorzeźbą z podobizną Naczelnika w starszym wieku i napisem łacińskim:

„In memoriam Thaddaei Kościuszko summi polonorum ducis qui hac domo idibus Octobris anni MDCCCXVII magnam expiavit animam — Poloniae exules — MDCCCLXV“.

Dom przybrano w girlandy i festony biało-amarantowe. Imieniem Szwajcarskiej Rady Związkowej przemówił prezydent kantonu solurskiego, dr. Hans Kaufmann: „Szwajcarya, jak zaznaczył mowca, dumną jest, że stała się ostatniem przytuliskiem polskiego bojownika, a dziś, gdy w zawierusze wojennej ważą się losy ludów, z całego serca woła ku Polsce: „Wstań wolna i niepodległa!“ “

Muzyka wykonała „Boże, coś Polskę“ i hymn szwajcarski. Odpowiadali mu mowcy polscy w językach polskim, francuskim i niemieckim, wzywając równocześnie rodaków do wielkiego dzieła budowania Ojczyzny bez uprzedzeń osobistych, czy partyjnych.

Potem pochód udał się na wyżej wymieniony cmentarz zuchwilski, o którym także parę słów dorzucę.

Kiedy przekroczy się mury cmentarza, zaraz na wstępie zwraca uwagę olbrzymie popiersie na wysokiej podstawie. Z jakiem zdziwieniem przybysz dowiaduje się z niżej umieszczonego na nim napisu, że to jest pomnik Tadeusza Rejtana. Skąd on się tu wziął na obcym cmentarzu? Wznieśli go mianowicie emigranci-Polacy, czciciele sławnego męża, który przy podpisywaniu aktu podziału Polski, rozdzierając szaty swoje, zawołał rozpaczliwie: „Zabijcie mnie, lecz nie zabijajcie Ojczyzny“.

Jest on tak pokrewny duchem Kościuszce, że ci dwaj Tadeuszowie pomniki swoje jeden obok drugiego mieć powinni.

Myśl naprawdę piękna, myśl mądra, myśl polska.

Grób Kościuszki zajmuje na cmentarzu najwybitniejsze miejsce. Leży w północnej jego części, wprost wchodowych drzwi kościółka. Nad nim wznosi się porosły bujną zielonością niewymownie skromny pomnik, lecz niemniej i przykuwający wzrok symbolicznością swego pomysłu.

Na trzech podstopniach stoi szeroki blok z kamienia jurajskiego, na nim zaś umieścił rzeźbiarz glob uosabiający ziemię, przyozdobiony złotą gwiazdą, a nad nią widnieje maleńki złoty krzyż.

Całość przez połączenie linii ostrych z okrągłemi estetyczna jest w całem tego słowa znaczeniu i symboliczna zarazem.

Ta bowiem gwiazda błyszcząca mówi każdemu spoglądającemu, kim Kościuszko był i co zdziałał: „Że szedł przed ludem na okazanie drogi, we dnie w słupie obłoku, a w nocy w słupie ognistym, że był wodzem na drodze obojego obozu“ (Exod. 13, 21).

Skromny pomnik ozdobiony jest skromnym napisem łacińskim:

„Fratres patri suo — Viscera Thaddaei Kościuszko deposita die XVII Octobris MDCCCXVII“.

Jest to jedyny pomnik jego w Europie, nie biorąc w rachubę kopca-mogiły pod Krakowem.

Przy tym grobowcu Wodza, znikającym pod stosem wieńców i kwiatów, gdzie zakończyła się solurska uroczystość, przemówił ks. Skaziński z Fryburga i znany przyjaciel Polski, publicysta, p. Rene Claperede z Genewy.

I tak w poszumie wiatrów szwajcarskich gór, wśród szmeru krzewów cmentarnych, stojąc obok miejsca, w którem spoczywały prochy Kościuszki-bohatera, Kościuszki-mocarza, Kościuszki apostoła wolności równości i braterstwa, jestem przekonany, że każdy obecny przysiągł sobie w duszy kroczyć jego śladami.

A gwiazda ideału Kościuszkowskiego nie zagaśnie, póki ku gwiazdom kierować się nie przestaną myśli ludzkie i wzrok.

Karol Danielewicz.



Z pola. — Zanim poszliśmy naprzód, nabiedowaliśmy się strasznie, ciągle w zimnie i deszczu pod gołem niebem; nigdy nie byłem suchy przez dwa tygodnie, ale Bogu dzięki przeszło to szczęśliwie czekamy, kiedy znów ruszymy naprzód. Nasi przeszli już rzekę Tagliamento. Niemcy próbowali trzy razy przejść i ciągle ich odbijali, dopiero naszym się to udało. Jeżeli most zbudują, ruszymy znów zaraz dalej. Z całej 2. i 3. armii włoskiej, która liczyła 450.000 ludzi, pozostało, około 150.000 i zabraliśmy im 2.000 armat. Ale słusznie należała się, „makaroniarzom" kara za ich postąpienie z sojusznikiem. Jestem też bardzo szczęśliwy, że biorę udział w tej ofenzywie z moją bateryą i to jako komendant.

Gazety nie widziałem przeszło już od miesiąca, poczta polowa jeszcze nie kursuje.

5. listopada. — Wreszcie dzisiaj dopiero mogę napisać kilka słów. Dotychczas goniliśmy Włochów bez wytchnienia, uciekali też okropnie. Ale i teraz naprzód nie możemy się bardzo posuwać, gdyż wszystkie drogi zabite są pozostawionemi automobilami, wozami, kanonami. Całe magazyny z amunicyą i prowiantem pozostały. Pijemy teraz kawę ziarnistą, ryżu, sera, słoniny, krów i t. d. mamy bez liku. Tego, czego wam teraz brak, my mamy tu poddostatkiem. Zaprowiantowałem baterye na dwa tygodnie: wódek, likierów, wina, ile kto chce; mnie jednak to wszystko nie smakuje. Sklepy całe porozrzucane po ulicach; wstążki jedwabne, koronki i t. p. powyrzucane po rowach, bo tego żołnierzom nie potrzeba.

15. listopada. — Przed dwoma dniami „okładał" Włoch nasz dom w niemożliwy sposób, lecz dziś mam spokój i wygodę, a nawet mogę pisać, bo jesteśmy w nowem miejscu. Zimno tutaj obecnie tak, że nawet dzisiaj powierzchnia wody była zamarznięta. W mieszkaniach pieców niema, trochę to głupi wynalazek. Mówią tu, że nasz cesarz Karol został królem polskim; gdyby to prawdą było, to wniósłbym zaraz prośbę o przeniesienie do polskiej artyleryi. Wydarzył mi się niedawno śmieszny wypadek. Granat wpadł przez okno i bez siły upadł pod łóżko i nie eksplodował; było to w sąsiednim pokoju; zupełnie tego nie słyszałem, tak spałem silnie, dopiero nad ranem zameldował mi to podoficer, który pokój ten zamieszkuje. Komendę bateryi mojej prowadziłem do 10. listopada, a od tego czasu znów jestem adjutantem w komendzie grupy ciężkiej artyleryi, mam więc spokój i trochę więcej czasu.

19. listopada. — Siedzę obecnie w bardzo ładnie urządzonym pokoju i spoczywam po ciągłych marszach. Mam nadzieję, że przecież się jakoś uspokoi i dojdzie do ładu, a ja wreszcie otrzymam upragniony urlop, ale ruch kolejowy jeszcze nie uregulowany, a do najbliższej stacyi jeszcze daleko.

Por. Tadeusz Strutyński.

Bożego gniewu nadszedł czas,
Szum wichru słychać zdala,
Skarlały serca i też wraz
Niedoli rośnie fala.

I z ciemnych szczelin skrytych jam
Wypełzła rozpacz dzika
I narodowy wielki chram
Zupełnie już przenika.

Jak niegdyś zbawczej łaski zdrój
Wytrysnął z Jasnej Góry
I słabych wiódł w zwycięski bój,
Rozdarte spajał mury:

Tak dziś, gdy z nieba pada cios,
A w sercach blada trwoga,
Nie szemrać na okrutny los,
Że beznadziejna droga:

Lecz znów do Jasnej Góry biedz,
Gdzie mieszka nasza Pani,
I tam pokornie, ufnie ledz,
Jak słudzy i poddani.

A potem schwycić pracy młot.
Niech iskra zamigoce,
Bo tylko znoju zbożny pot
Zwycięży wrogie moce.

Nakoniec podać sobie dłoń, —
Lecz wszyscy, nie wybrańce, —
I tak okolić ojców błoń:
Prawdziwe żywe szańce.

Evan.

DO SŁUŻĄCYCH POD BRONIĄ.

Koledzy! Nadzieje zawodzą i czwarta wigilia czeka Was w polu. Ciężko Wam i przykrzy Wam się życie pod bronią, zdala od ognisk rodzinnych, zdala od serc Was kochających.

Udręka Wasza i zgryzota jeszcze się. w tych dniach spotęguje, a może posądzacie nas, których warunki z Opatrzności Bożej zachowują w kraju, o obojętność.

Nie, drodzy Koledzy, wierzcie nam, że my wszystkie Wasze bole odczuwamy, że dusze nasze drżą z Wami od zimna, że wspólnie z Wami głodem przymieramy i pragnęlibyśmy wszystko uczynić, aby każdy z Was jak najprędzej powrócił pod rodzinną strzechę, w objęcia ukochanych rodzin.

Aby Was o tem przekonać, piszemy ten wspólny list, który niech świadczy o naszej przyjaźni i koleżeńskiej miłości i współczuciu z Waszym ciężkim losem.

Załączając staropolski i starochrześcijański opłatek z życzeniami wytrwałości na tej ciężkiej, ciernistej drodze, wraz z serdecznem pozdrowieniem, błagamy Boga i naszą Królowę Polską o pokój i rychłe zabliźnienie zadanych przez wojnę ran nie tylko ciałom, lecz zarówno sercom i duszom.

Bóg z Wami! Wracajcie rychło z Bogiem!

X. T. Bzowski T. J. — *Dr. J. Ausobsky* — *Dr. S. Salkowski*
R. Niedźwiedzki — *Jan Kuhn* — *X. J. Krysa T. J.*
X. J. Hrubant T. J. — *J. Kopecki* — *Inż. J. Romaszkan*
J. Pragłowski — *J. Zerygiewicz* — *W. Rosiński.*



Wiadomości o dawnych Kolegach.

Podamy tylko najważniejsze zmiany w życiu Kolegów, gdyż obecnie niema już miejsca na dosłowne wyjątki z listów.

X. J. Antoniewicz donosi z Zakopanego, że tamże przebywają: X. J. Augustowicz na kuracyi, Dr. Tad. Włyński jako dyrektor poradni Cz. Krzyża dla chorych na gruźlicę, por. artyleryi J. Duczyński jako adjutant gen. hr. Ledóchowskiego, a w szpitalu J. Wallisch.

W Krakowie w kościele św. Barbary odbył się ślub kol. Józefa Korewickiego z p. Aliną Chwalibożanką d. 25. paźdz.



Dr. S. SALKOWSKI.

Kol. Mikołaj Drużbacki po trzechletniej służbie sanitarnej w Legionach wrócił z powrotem na teologię do przemyskiego seminaryum.

Bracia Czerniawscy przenieśli się z Warszawy do Lwowa, Kazimierz na medycynę, a Artur na technikę.

Dr. Adam Strzelecki po złożeniu w Krakowie doktoratu filozofii przebywa tamże w szpitalu.

Inż. Tadeusz Henoch donosi, że ma posadę w dobrach Arcyksięcia Stefana — Lipowa p. Żywiec.

Do niewoli włoskiej dostał się podp. p. Stefan Otowski.

Kom. pow. w Stryju, Bronisław Komornicki, otrzymał złoty krzyż zasługi na wstędze medalu waleczności.

X. Tadeusz Marekowski wydał w Poznaniu książkę p. t. „U stóp Twych, o Maryo!“

Prof. Tadeusz Raciborski, obecnie por. p., pisze z frontu: W spisie konwiktorów wyczytałem nazwisko Włodzimerza Fajrycha, ale bez wiadomości o nim; otóż mogę donieść, że jako urzędnik Magistratu w Stanisławowie uwieziony został przez Moskali i w niewoli tej umarł w parę miesięcy później.

Leg. Józef Siemiaszko donosił z początku listopada, że jeszcze się znajdował w Benjaminowie.

Por. artyleryi Tadeusz Mikucki między innemi pisze; „Spotkałem niedawno Korewickiego, któremu przed rokiem wyrąbałem w Dobrowodach pół lasu na budowę bateryi i wystawiłem kwitek. Ładny kolega ze mnie — prawda!?“

Koł. J. Mozdyniewicz donosi z Krakowa: „Na medycynie ze mną jest W. Karczewski oraz superarbitrowani legioniści St. Dobrzyński i T. Czapliński, a W. Mlcoch po ukończeniu handlówki wybrał się na agronomię do Wiednia.

Kol. S. Trznadel zapisał się na medycynę we Lwowie, a J. Błoński na agronomię we Wiedniu.

Leg. T. Zawadzki już ze Szczypiórna się wydostał i donosii z domu z Mijaczowa, że uwolnieni też stamtąd zostali Adolf Rudnicki, I Niementowicz, W. Szczawiński, I. Kurowski i T. Prądzyński.

Kol. St. Bromilski między innemi pisze ze Lwowa: „Od 8 lat prowadzę mój sklep i jestem z mego stanowiska bardzo zadowolony, bo nikogo nad sobą nie mam, jak to bywa we wszystkich biurach i urzędach, a dzięki Bogu zupełnie dobrze mi się powodzi. Spodziewam się, że za kilka lat już i mego synka do Chyrowa odwiozę“.

Do służby wojskowej w ostatnich czasach powołani zostali Kol.: Stanisław Maszlanka, Jerzy i Mieczysław Szłapa, Adam Smalawski

Kol. Kazimierz Majewski otworzył biuro rolniczo-techniczne w Warszawie.

X. Rostworowski, pisząc d. 21. paźdź. z Berdyczowa, wspomina, że widział następujących Chyrowiaków: X. Dr. J. Hergeta, X. O, Rourke, Karola Koryckiego i Laskowskich.

D. 4. listopada otrzymał w kościele Maryackim w Krakowie święcenia kapłańskie X. Włodzimierz Konopka T. J., a prymicye odprawił w N. Sączu.

Kol. Bronisław Choynowski donosił z Kijowa, że Witold i Zygmunt Domański już w wojsku nie służą.

W fabryce, którą kieruje kol. Zygmunt Stocki-Sosnowski wykonano piękną srebrno-pozłacaną monstrancyę, którą fundowała w Starejwsi Sodalicya Panów ziemi sanockiej z powodu swego 25-lecia.

Por. Stefan Dunikowski między innemi donosi: „Od lutego 1917. jestem kierownikiem ekspozytury rolniczej w Brzesku, gdyż z powodu dwuletnich tarapatów wojennych zapadłem na serce i z tego powodu uznany jestem jako niezdolny do służby na frontach. Pracuję zatem w rolnictwie, co odpowiada memu zawodowi więcej naturalnie niż służba na froncie. Majątek mój Stróże koło Zakliczyna dość znacznie ucierpiał wskutek inwazyi i długotrwałych kwater, jednak powoli odbudowuje się, co się da. Co do kolegów to kilka szczegółów załączam. Kol. Stefan Kotarski jest obecnie przy ekspozyturze rolniczej w Przeworsku, a Mosiewicz Adam jest kierownikiem c. k. Inspekcyi leśnej w Krakowie“.

Kol. Antoni Gromnicki donosi, że po trzechletniem panowaniu rządu rosyjskiego został wreszcie ich majątek uwolniony, a on w lipcu b. r. wstąpił do Legionów i służy przy artyleryi.

Kol. Wacław Haas donosi ze szpitala w Lublinie, że wskutek eksplozyi ręcznego granatu został ranny w obie nogi. „Widzę w tem wyraźną Opiekę N. M. P., gdyż cudem prawie ocalałem".

W Starejwsi pod Brzozowem obchodziła Sodalicya M. ziemi Sanockiej dwudziestopięciolecie swego istnienia; w uroczystości tej brali udział z Chyrowiaków: Antoni Kraiński, Adam Narajewski i Z. Zieliński.

Dr. Stefan Glixelli ma mieć we Lwowie w grudniu odczyt na temat: „Twórczość dramatyczna Rostanda" w cyklu odczytów na rzecz ubogich uczniów szkół średnich.

Kol. Stefan Urban donosi z Durazzo, że w Albanii zachorował po raz drugi na malaryę i że się czuje bardzo nie dobrze.

Porucznik ułanów Stefan Dunikowski został mianowany rotmistrzem, podporucznicy: T Strutyński i S. Schultis porucznikami, a w Legionach Maryan Sroczyński i T. Chmielowski.

D. 14. października odwiedzili Chyrów i wzięli udział w konwiktowej uroczystości ku czci Kościuszki następujący Kol. z Przemyśla: X. Kapelan K. Konopka, oficerzy z armii W. Sulerzyski i Dr. W. Ruebenbauer, a z Korp. posilk. czyli z Legionów: Tadeusz Dębski, Stanisław Górkiewicz, Wiktor Zieleniewski, Kazimierz Bielawski, Bracia Feliks i Józef Markiewicze, Stanisław Strzelecki, Eryk Proń i T. Sochacki.

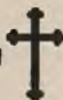
Prócz tego odwiedzili Chyrów w ostatnich miesiącach: Dr. Zaremba, Stanisław Myszkowski, A. Kucharski, H. Linderski, Dr. A. Albert Knaur, St. Chobrzyński, X. J. Augustowicz, Roman Gluziński, K. Czerniawski, Major Bolesław Dunikowski, Kap. St. Ciechulski, Bracia Pragłowscy, L. Stankiewicz, Stanisław Świeżawski, Grzegorz Zerygiewicz, Adam Tyszkowski, Inż. G. Balicki. Dr. S. Salkowski, W. Mück, Fr. Wasilkowski, S. Trznadel, J. Ostrowski i Roman Bujnowski.

W ostatnich czasach pisali następujący Koledzy: Józef Osostowicz z niewoli włoskiej, W. Haas z frontu rumuńskiego, Józef Mozdyniewicz z Krakowa, R. Maniewski ze szpitala, M. Franków z frontu, Jan Lubaczewski z Ischlu, Dr. S. Serkowski z Warszawy, R. Liwicki z frontu włoskiego, Dr. Erwin Szeib z Rzeszowa, Teodor Braunek z frontu rosyjskiego, K. Danielewicz z Zurichu, Dr. Fr. Bubeniczek z Lublina. Z. Groblewskiego z Węgier, S. Urban z pola, Kostanty Gołębski z frontu wloskiego, Dr. Jerzy Rosinkiewicz z Lubaczowa, Z. Fischer z pola, T. Bandrowski z pola, Wiesław Skarzyński ze Studzienic, Jerzy Hohendorff z Brzysk, Alfred Strutyński z frontu rosyjskiego, Ignacy Hirszel z Łodzi, X. Tadeusz Marekowski z Chrzanowa, Fr. Wasilkowski ze Lwowa, W. Łysakowski ze szpitala, J. Ciastoń z Węgier, Zygmunt Laskowski ze Lwowa, Józef Nowierski z Konina, Kazimierz Bielawski

z frontu rumuńskiego, X. K. Konopka z frontu rumuńskiego, Czesław Rożen z Węgier, Eustachy Szymanowski z Warszawy, Jan Deskur z Hrubieszowa, Karol Brachel z Krakowa, Feliks Markiewicz z Przemyśla, Tadeusz Mikucki z frontu bukowińskiego, Inż. Edward Szayer ze szpitala w N. Sączu, X. Dr. E. Jełowicki ze Lwowa, Zygmunt Stocki Sosnowski z Krakowa, Prof. W. Rylski z frontu, K. Hernich z pola, T. Haładewicz z pola, Dr. S. Salkowski ze Lwowa, Jan Kuhn z Krakowa, T. Urbańczyk z Chrzanowa, Dr. L. Schaitter z Rzeszowa, S. Dunikowski z Łagiewnik, Leszek Ochocki z Legionów, Juliusz Łubkowski z Serbii, X. Alfred Dobiecki ze Lwowa, Stefan Hankiewicz z Niżankowic, Stanisław Urbańczyk z Chrzanowa, Jan Kuhn z Krakowa, Antoni Opolski z Rzeszowa, Mikołaj Drużbacki i Władysław Piotrowski z Przemyśla, St. Chobrzyński z Tarnowa, T. Stoklasa, Juliusz Styfi z frontu włoskiego, A. Narajewski z Brzozowa, Karol Kuhl ze szpitala, M. Starosolski ze Lwowa, K. Schabenbeck z Cieszyna, T. Lubaczewski z Cetynii i S. Marcinkiewicz z niewoli rosyjskiej.



STANISŁAW MARCINKIEWICZ.



PAMIĘCI ZMARŁYCH.

Ś. p. O. Michał Haudek T. J.

Urodzony 11. marca 1868. we Lwowie, tamże odbywał nauki gimnazyalne. Do Zakonu Tow. Jez. wstąpił 24. paźdz. 1885, wyświęcony na kapłana dnia 7. lipca 1900. przez X. Bpa Pelczara w Chyrowie, a ostatnie śluby zakonne złożył dnia 2. listop. 1902. Umarł 15. listopada 1917. w Chyrowie.

Jako kapłan pracował jakiś czas w Czerniowcach, Kołomyi i Karwinie, jednak najdłuższy okres swego życia zakonnego spędził w Chyrowie już to jako prefekt, to jako katecheta szkoły miejskiej, to znów jako nauczyciel klasy przygotowawczej w Konwikcie, a w tym ostatnim kierunku doszedł do mistrzostwa. Właśnie te ostatnie 7 lat życia, bogatego już w zasób doświadczenia na polu pedagogii, danem mu było z woli przełożonych poświęcić tej ciężkiej i trudnej, cichej i ukrytej, a niezmiernie doniosłej pracy około przygotowania dziatwy do gimnazyum.

Pracę tę ukochał całem swem szlachetnem sercem i poświęcił się jej bez zastrzeżeń, bez względu na swe mocno już od lat nadwątlone zdrowie. Widział w niej prawdziwą służbę Bożą i spełniał ją z największym pietyzmem. Dlatego nietylko przełożeni Konwiktu, ale i zjeżdżający na hospitacyę przedstawiciele Rady Szkolnej Krajowej, ilekroć zaglądnęli do tej cichej „Przygotówki", mieli zawsze dla O. Haudka jedynie słowa czci i uznania, tak za wzorową karność, jak za ścisłą metodyczność nauczania i takt ojcowski, z jakim tę dziatwę, świadom celów wychowania i nauki, skutecznie ku nim prowadził.

Jako częsty w tych latach chyrowskich jego towarzysz przechadzek w dni wolne od szkoły — co było jedyną jego rozrywką i jedynym wypoczynkiem — mogę poświadczyć, iż nawet w tych chwilach wytchnienia od mozołów szkolnych O. Haudek nie umiał zapomnieć o swych malcach: stąd przedmiotem rozmów jego był ich postęp, sposoby usunięcia przeszkód na tej drodze napotykanych, badanie ich temperamentów i zdolności, wyszukiwanie coraz nowych metod ułatwienia im nauki i rozwoju, troska o to, by ich do pracy gimnazyalnej jak najlepiej przygotować.

Nie dziw, że takie ofiarne pogrzebanie siebie żywcem w tej

pięknej, ale wyczerpującej pracy podcięło jego wątłe siły, które po półrocznej ciężkiej chorobie kiszek opuściły go zupełnie. Ś. p. O. Haudek głęboko zrozumiał i w swem sercu wyrył wielką myśl św. Jana Złotoustego (in cap. 18. Math. Hom. 60): „Quid maius quam animis moderari, quam adolescentulorum fingere mores? Omni certe pictore, omni certe statuario, ceterisque huiusmodi omnibus excellentiorem hunc duco, qui iuvenum mores fingere non ignoret!“

W Konwikcie Chyrowskim dobrze się zapisało jego imię — a Bóg miłosierny hojną mu, jak ufamy, wymierzy zapłatę za jego „trud dnia i upalenia“ i da mu z nieba oglądać piękny plon posiewu, jaki w tak wielu szeregach dziatwy chyrowskiej złożył na pożytek tej umiłowanej Ojczyzny, której wyzwolenia ś. p. O. Haudek aż do ostatnich dni życia z nieukojoną tęsknotą oczekiwał...

Cześć mu za to i pamięć wieczna!

X. R. Koppens T. J.

Ś. p. Stefan Kantecki.

Zmarły profesor gimnazyalny Stefan Kantecki ur. w r. 1884 w Poznaniu, kształcił się zaś w Chyrowie od r. 1893. do 1901. Ukończywszy wydział filozoficzny na uniwersytecie lwowskim, ożenił się z p. Anną Piętakówną i otrzymał posadę profesora gimnazyalnego najpierw w Samborze, a następnie w Brzozowie.

Nieubłagane konieczności wojny powołały go na front. W Karpatach zachorował na tyfus, a po odzyskaniu zdrowia odwiedził Chyrów, gdzie nawet mieszkała z córeczką żona zmarłego. W lecie jednak b. r. znów wrócił na front rosyjski, gdzie się przeziębił i wpadł w galopujące suchoty. Chorobę tę przebywał na Węgrzech, w szpitalu w Beszterczebanya, gdzie też zaopatrzony św. Sakramentami, umarł d. 9. listopada b. r.

Doszła nas pocieszająca wiadomość, że ostatnie godziny życia zmarłego wypełniła ustawiczna modlitwa, tak że to jedynie pozostało jako pociecha dla wdowy i sieroty, że zmarły zasnął rzeczywiście w Bogu. W wigilię śmierci przyjął zmarły razem z żoną i córką Komunię św.

Ś. p. Dr. Maryan René hr. de Marassé.

Zmarły ś. p. Kolega urodził się w r. 1879. w majątku Bezdziatka koło Kołaczyc; był synem Mieczysława i Celiny z hr. Romerów. Nauki rozpoczął w Chyrowie w r. 1889., a maturę z odznaczeniem zdał w r. 1897. Studya uniwersyteckie odbywał głównie w Wiedniu ale też kształcił się wiele za granicą, w Paryżu, Rzymie i Londynie. Ostatecznie osiadł w Wiedniu, gdzie otrzymał posadę asystenta biblioteki uniwersyteckiej.

Otrzymaliśmy zawiadomienie, że ś. p. Maryan umarł po krótkiej chorobie we Wiedniu d. 12. listopada, gdzie też 15. listopada odbył się pogrzeb zmarłego.

Ś. p. X. Jan Kanty Chłodnicki.

Zmarły d. 7. listopada kapłan dyecezyi przemyskiej ś. p. Jan Chłodnicki ur. w r. 1879. w Głogowie, do kl. przyg. do Chyrowa przyszedł w r. 1890. Dnia 8. grudnia 1894. został sodalisem, a maturę zdał 1899.

Czując powołanie do stanu duchownego, wstąpił do seminaryum w Przemyślu, gdzie też w r. 1903. został wyświęcony na kapłana. Jako wikary pracował przy kościołach parafialnych i jako katecheta w Turce, w Łańcucie, Bielinach, Mrowli, a wreszcie w Niewodnej koło Strzyżowa.

Proboszcz z Nienadowej X. Baraniewski donosi: „D. 6. listopada rano znaleziono ś. p. X. Chłodnickiego leżącego bez przytomności w łóżku, i w takim stanie męczył się do 9. godz. wieczór dnia następnego. Lekarz orzekł, iż z choroby nerkowej przyszło zatrucie krwi, uderzyło na mózg i na paraliż mózgu zakończył życie. Za wielki po nim w parafii, bo to była złota i szlachetna dusza, kaznodzieja niezrówmany".

Ś. p. Jerzy Michalewski.

Urodzony w Lublinie w r. 1905. przyszedł do Chyrowa do kl. I. b. r. szkolnego. We wtorek d. 20. listopada zachorował na szkarlatynę, a wieczorem we czwartek d. 22. już powołał go Bóg do siebie. W ciągu tych kilku miesięcy zdołał zjednać sobie przyjaźń i miłość młodych kolegów, a posłuszeństwem i pilnością w naukach starał się zadowolić swych przełożonych, toteż ogólny żal po sobie pozostawił.

R. in p.





Z ŻYCIA SODALICYI KONWIKTOWEJ.

Ciebie na wieki wychwalać będziemy,
Królowo niebios, Maryo!
W Twojej opiece niechaj zostaniemy,
Śliczna's bez zmazy lilio!
Wdzięczna Estero, o Panienko święta,
Tyś od Aniołów jest do nieba wzięta;
Niepokalanieś poczęta.

Któż z naszych dawnych Braci Sodalisów Chyrowskich nie zna tych słów, kto zapomniał tej melodyi? Jak już od lat trzydziestu, tak i w tym roku chwaliliśmy tą pieśnią Królowę Polskiej Korony w czasie dziewięciodniowego nabożeństwa, które poprzedzało naszą drogą uroczystość Niepokalanego Poczęcia. Sodalisi zamiejscowi nadsyłali z różnych stron podpisane akty, dodając zapewnienia, że z Sodalicyą Chyrowską łączą się duchowo, że, jak się wyraził prof. Tadeusz Urbańczyk, „razem z Wami powtarzam najserdeczniej i najszczerzej: obieram Cię dzisiaj za Panią, Orędowniczkę i Matkę i postanawiam nadal być zawsze sługą Twoim". Jak kochający swą matkę syn nie może zapomnieć o imieninach swej ukochanej matuchny, tak nawet z pola, z frontu, nadsyłali Sodalisi dowody, że łączą się z nami pod sztandarem Maryi, pod który zapisało się w Chyrowie już 550.

W czasie tegorocznej uroczystości d. 8. grudnia przyjęci zostali następujący kandydaci: Władysław Sroczyński, Henryk Wallisch, Zbigniew Surówka, Jerzy Choróbski, Zdzisław Grzymek, Michał Czarkowski, Adam Heyda, Jarosław Lewicki, Kazimierz Przybyszowski, Feliks Ritter, Stanisław Schwarz, Maryan Sirowy, Ziemowit Socha, Aleksander Suberlak, Kazimierz Szymański.

Sodalicya Konwiktowa liczyła w tym dniu 74 członków, a w tej liczbie 35 sodalisów i 39 kandydatów.

Uroczyste, według dawnych znanych ceremonii, nabożeństwo z przemową i Mszę św. miał w tym dniu O. Moderator Krysa, a dość znaczne, jak na wojenne czasy, grono Sodalisów zamiejscowych i Sodalicya Pań, obecna na nabożeństwie, przysporzyła czci Maryi.

Na zakończenie notujemy pocieszającą wiadomość, że już i w Królestwie Polskiem powstają Sodalicye młodzieży; utworzono je w Warszawie, Częstochowie, Jędrzejowie i w Kielcach W tem ostatniem mieście w uroczystość św. Stanisława Kostki sam J. E. X. Biskup Łosiński przyjmował pierwszych Sodalisów, uczniów gimnazyalnych. Wiadomość o powstaniu Sodalicyi wśród Legionów już na innem miejscu była podana. Nowym towarzyszom z pod sztandaru Maryi zasyłamy serdeczne „Szczęść Boże!"



KRONIKA KONWIKTOWA.

Rydze pieczone w lesie na ostatnich wycieczkach wrześniowych jakoś nie bardzo posłużyły niektórym kolegom, którzy się do infirmeryi czyli, jak teraz mówią, do lecznicy dostali, za co Dr. Ausobsky bardzo się gniewał. W październiku nastały chłody, ale z wyjątkiem pierwszych dni pogoda jeszcze dopisywała, tak że nawet można było i Herburt stary odwiedzić.

Pytają się często starzy Chyrowiacy, co słychać w Chyrowie. Przecież oni wiedzą dobrze, że słychać, jak chłopcy ryją czy to na grece czy na matematyce, jak się uczą historyi, fizyki itd. Ale trzeba coś napisać o szkole, więc napiszę, z góry zaznaczając, że ponieważ teraz w wojennym okresie wszystko jest „Ersatz“, więc też i kronikarze i ich kronika—„Ersatz“. Zacznę od godziny Ojca logicznego, bo on się nie obrazi, ale położy to wszystko na karb nierozumu kronikarza, a że wiemy od niego, że nierozum jest wyłącznym przywilejem człowieka, więc nie będzie to z ujmą i hańbą dla kronikarza. Otóż O. logiczny czeka już przed klasą, nie mogąc wejść odrazu, bo jest przez nas oblężony, a my go zapewniamy, że jesteśmy doskonale przygotowani, ale jest to bardzo oklepana formułka, a O. logiczny wie doskonale, co o tem doskonałem umieniu sądzić, więc tylko uśmiechem z politowaniem zapędza nas do klasy. Naraz znika z naszych twarzy wesołość, a na jej miejsce wstępuje wytężona uwaga, czy O. logiczny weźmie notes, czy książkę; to znaczy, czy będzie wykładał, czy pytał; gdy więc weźmie książkę, rozlega się wtedy po klasie jedno długie: Aaaaaa! w przeciwnym razie słychać w całej klasie szelest przewracanych kartek i szepty: podpowiadaj. O. logiczny nim zacznie pytać, długo patrzy po klasie, jakąby sobie ofiarę wybrać, bo zna swoją potęgę i wie, że nikt mu się nie oprze, wie, że każdemu z nas udowodni, że jest np. piecem, kołkiem

lub czemś podobnem. W końcu wyrwie kogoś i czeka na odpowiedź cierpliwie, a gdy usłyszy wielkie głupstwo, to nic nie mówi, tylko patrzy się z wyrzutem na swą ofiarę, a w końcu powie: no widzisz, krzyczałeś że umiesz, a ja ci nawet uczciwej czwórki zapisać nie mogę — i pyta znów kogoś innego i tak w miarę odpowiedzi słucha z politowaniem nielogicznych odpowiedzi.

Sądziłem z początku, że się tak da opisać wszystkie szkolne godziny, ale zdaje się, że brakłoby miejsca w kronice, więc tem ci lepiej, bo możeby mi się jeszcze coś oberwało od jakiegoś innego Ojca polskiego lub fizycznego.

Tymczasem O. Piątkiewicz ukończył już przygotowania na jubileuszowy obchód Kościuszkowskiej rocznicy. W niedzielę 14. października gmach Konwiktu przyozdobiono polskimi sztandarami. Starszacy wybrali się nawet na stacyę, aby przyprowadzić zapowiedzianych gości Legionistów Chyrowiaków z Przemyśla, lecz z powodu zatrzymania pociągów Legioniści nie przyjechali zapowiedzianym pociągiem, aż dopiero późniejszą towarówką na Posadę.

Wieczorem o g. 7. rozpoczęła uroczystość orkiestra odegraniem utworu Koczalskiego p. t. „Pochód do Kijowa“. Następnie ze znaną a właściwą sobie swadą przemawiał O. J. Krysa. Na scenę wybrano poemat T. Lenartowicza p. t. Bitwa Racławicka z muzyką i śpiewem układu O. Piątkiewicza. Występowali w tem przedstawieniu następujący koledzy: Kościuszko — R. Piątkiewicz. recytator przodownik — W. Siedlecki, Madaliński — M. Myczkowski, Jędrzej — S. Tokarz, wójt — Kl, Myczkowski, węglarze: J. Choróbski, Al. Karpiński, J. Kopczyński, kosynierzy żołnierze: B. Kowalski, O. Jun, J. Geringer, J. Pragłowski, Z. Skałski, A. Sroczyński, W. Witkowski, F. Wolaniecki. M. Gottwald, G. Mars, Z. Surówka, J. Wallisch, J. Danielewicz, Z. Grzymek. Partye solowe odśpiewał p. J. Flesler.

Wieczór zakończył polonez Wrońskiego „Jeszcze Polska nie zginęła“. Jeden z kronikarzy pisze, że przedstawienie się udało, a choćby się i nie udało, to przecież nie można krytykować kolegów, którzy wszystko zrobili, aby wypadło jak najlepiej, bo niktby się publicznie błaźnić nie chciał. Inny znów opowiada, że nowym kolegom w ich klasie powiedziano, że muszą sobie kupić na przedstawienie bilety i biedacy dużo się nabiegali po nie, zanim ich ktoś z błędu wyprowadził, że biletów u nas nie trzeba. A mnie znów przyszło na myśl, że dobrzeby to było w tych czasach wojennych zaprowadzić w Chyrowie na jakiś dobroczynny cel bilety, toby się jakiś grosz zawsze zebrało.

Nazajutrz uroczyste nabożeństwo, po którem odśpiewano „Boże coś Polskę“ celebrował O. Hrubant, który w Chyrowie jest obecnie już wśród księży seniorem. Zrana urządzono pochód przed frontem Konwiktu ze śpiewami, a po obiedzie mieliśmy dłuższe przechadzki.

I znów wróciliśmy do zwykłych zajęć szkolnych tem więcej, że zbliżała się klasyfikacya. Wyszedł Kwartalnik, więc 5 stron „Tego i owego“ były bardzo mile widziane, a dowiedziawszy się, że to ma nastąpić 25-lecie gazetki spodziewamy się, iż w następnym zeszycie z tej okazyi będzie co najmniej dwa razy tyle ku rozweseleniu i zabawie. D. 22. października zdał Kol. K. Brachel maturę wojenną i wrócił do szpitala do Krakowa. Kwestya węglowa, a raczej brak węgla niepokoi O. Prokuratora Tomniczaka, a nas różne inne kwestye historyczne i matematyczne. Była w tym czasie w pewnej klasie jeszcze inna kwestya dość drażliwa, lecz trzeba o niej zamilczeć, jako o kwestyi osobistej, aby kolegom nie psuć na przyszłość dobrego imienia, gdyż i oni mogą zmądrzeć, jak mówi O. Logiczny. Jesień była pogodna, choć chłodna. Liści już na drzewach niema, Br. Radomski zwiózł już wszystkie ziemniaki; z frontu włoskiego nadeszły wieści o wielkiem zwycięstwie, a jeden z młodszych kolegów czyni mi wyrzuty, że o ich klasie nic nie było w gazetce ostatniej. Otóż muszę zanotować, że kl. I. jeszcze d. 28. października uczciła Kościuszkę osobnym wieczorkiem, na którym był nawet „odczyt“, jak się ktoś wyraził, źródłowy.

Zbliżyła się uroczystość WW. ŚŚ. i tradycyjna pierwsza klasyfikacya publiczna. Orkiestra grając piękne uwertury i marsze popisała się dobrze, ale mniej my sami, gdyż celujących i wzorowych było niewielu, a w niektórych klasach zupełnie ich brakło, tak jak w kraju tłuszczów i mydła. Pocieszajmy się, że w dniu tym było bardzo dużo postanowień, aby na gwiazdkę tego wszystkiego przybyło. Przykład z dolu idzie, bo i kl. II. nie mogła ścierpieć, aby młodsi ich wyprzedzili i również ku czci Kościuszki urządziła wieczór, obejmujący 11 punktów programu, a więc o trzy więcej niż klasa I. Nazajutrz po nabożeństwie żałobnem udaliśmy się na cmentarz, aby się pomodlić przy grobach dawnych przełożonych i kolegów.

Zwycięstwa nad Soczą dały nam d. 3. listopada wolne, a nazajutrz w niedzielę obchodziliśmy po raz pierwszy imieniny Najjaśniejszego Pana, cesarza Karola.

Trzeba już iść dalej i żadnej klasy nie ominąć, ale coś właściwego o każdej powiedzieć. Kl. III. zachorowała na aparaty fotograficzne i wciąż je sprowadzają za pośrednictwem stryjów i cioci, choć fotografować jeszcze nie umieją. Kl. IV. z maszynką do strzyżenia włosów już się zaprzyjaźniła, tylko teraz jest w ustawicznej wojnie z greką. O kl. V. nic tak wybitnego nie umiem powiedzieć, ale jeśli w tym roku św. Mikołaj przyjdzie bez legitymacyi, to może on nam powie o cnotach tych kolegów. Kl. VI. słynie z oszczędności, a kl. VII. nie będę ruszał, aby być z nią w zgodzie, gdyż mogą oni łatwo już jako starszacy niedługo rej wodzić, gdyby tych ósmaków wzięto w styczniu do wojska.

Nowennę do św. Stanisława Kostki rozpoczął nauką O. S. Dzierża-

nowski, a ołtarz naszego Patrona pięknie białymi chryzantemami ozdobiono. Pewien kolega, przeczytawszy „ostatnie telegramy“ z gazetki, oburzył się bardzo na wiadomość, że konwiktorzy na święta mają nie jechać, tymczasem sam biedaczek zachorował na szkarlatynę i zamiast do Lwowa, pojechał do szpitalika, gdzie mu O. Szczepański wilię i gwiazdkę wraz z SS. Służebniczkami przygotowuje.

Dnia 14. listopada zdał maturę wojenną kol. Zdzisław Lewicki i pojechał do służby wojskowej, którą odbywa przy kopalni nafty w Borysławiu. Na jego zaś miejsce przybył na urlop z Legionów kol. Stanisław Strzelecki. Mówi się często, że wszystko po staremu w Konwikcie, a przecież nie zupełnie, gdyż nigdy dotąd po klasach nie było dzwonków elektrycznych, które dziś, 16. listopada, po raz pierwszy wydzwoniły koniec godziny, a to dzięki pracy O. Żukotyńskiego.



W sobotę dnia 17. listopada wzięliśmy udział w nabożeństwie żałobnem i pogrzebie ś. p. O. Haudka, długoletniego chyrowskiego pracownika.

Uroczystość św. Stanisława Kostki obchodziliśmy w niedzielę d. 18. listopada; nabożeństwo celebrował W. X. Dobrowolski, proboszcz z Wojutycz. W. X. Watulewicz z Felsztyna głosił w kazaniu cnoty naszego patrona i zachęcał do wiernej służby Bogu i Ojczyźnie od młodości, chór zaś śpiewał w towarzystwie orkiestry. Dopiero dziś po raz pierwszy zaczął śnieg prószyć, ale zaraz stajał. Po kolacyi ładnie zabawiliśmy się na komedyi Moliera p. t. „Drwal lekarzem“, w której występowały następujące osoby: Drwal; Marcyna, jego żona; Geront, opiekun Łucyana; Leander, jego nauczyciel; Walenty i Kuba, słudzy

Geronta; a tych przedstawiali Koledzy: F. Wolaniecki, S. Tokarz, J. Lewicki, T. Lyssy, W. Siedlecki, J. Prągłowski, J. Chorόbski i B. Kowalski. W przerwach orkiestra pełna odegrała uwerturę Soupego „Bandyci“ oraz Eilenberga serenadę i utwór „Złotnicy kują“.

Teraz dopiero zaczęła się brzydka, pochmurna, ciemna, słotna jesień. Bilardy, prawda, są, ale przy nich tylko kilku ugania, a reszta w czasie rekreacyi bądź to przy szachach, bądź przy innych grach szuka rozrywki; inni znów koledzy studyują gazety, chcąc się dowiedzieć czegoś wyraźnego o działalności Rady Regencyjnej w Warszawie. Zeszłoroczni maturzyści już donoszą o swych losach nad Piawą i innych na włoskim froncie przejściach. Tak n. p. kol. Haładewicz pisał nam, że przez trzy noce zmoknięty do nitki wcale się nawet w pochodzie nie rozbierał. Kol. Hernich również gdzieś po tamtych stronach podróżuje, a kol. Haas leży ranny w szpitalu w Lublinie.

Z bucikami było znów dużo kłopotu, aż wreszcie znaleźli się majstrzy tego kunsztu i otworzono im warsztat na miejscu, więc sytuacya się poprawiła, jednak niektórzy koledzy jakoś tę wiadomość niechętnie przyjęli. Na św. Cecylię dobrze się spisali i to wyjątkowo starsi koledzy, bo wznowili już dawno nieslyszaną naszą starożytną pieśń Bogarodzica. Kol. R. Piątkiewicz wyjechał do Borysławia, aby w „nafcie pracować“, w celu zaś przygotowania się do matury przyjechał z wojska kol. M. Wyspiański.

W poniedziałek d. 26. listopada wzięliśmy udział w nabożeństwie żałobnem i w pogrzebie zmarłego na szkarlatynę kol. Jerzego Michalewskiego, ucz. kl. I.

Rocznicę listopadowego powstania uczciliśmy nabożeństwem i odśpiewaniem narodowego hymnu. Listopad się skończył, a tu ani śniegu ani mrozu, ale widać to dobrodziejstwo nieba wobec takiego braku węgla.





TO I OWO.

Brytan wierny.

Psi monolog.

(Psy zwykle nie noszą kostyumów, więc i odtwórcy nie potrzeba żadnego szczególnego stroju, chyba może tylko psiej maski, jeśli jest pod ręką, by szlachetną swą facyatę do psiej więcej upodobnić.

Grunt. wżyć się w psią atmosferę, w dolę wiernego brytana, co znów nie tak trudna panom psiego rodu, wszak niejeden powiada, że psi żywot wiedzie.

Głos jednak, że to ma być monolog brytana, odpowiedniejszy będzie nizki, barytonowy).

Hym, hym —
nie dali mi żryć.
Złym! złym! —
Wczoraj ochłapy rzucili jak psu rano,
dziś nic nie podano.
Oto psem być!
Urząd najgorszy na ziemskiej bani.
A nam najgorzej z psów wszystkich — brytani.
To ci zapłata!
żem wczoraj jakiegoś draba oderwał w spiżarni
od szynek i schaba.
A teraz żrą sami, zębami mielą.
a z tobą, psie głodny, się nie podzielą.
O! ludzie niewdzięczni, czarni panowie świata.
Ha! wzdychać mi trzeba i chyba wyć.
Uj! żryć! chce mi się żryć! —
Ułożę się w kłębek, ogonem nakryję,

niech człowiek słucha, jak pies mu wyje.
jak krew psią własną głodny przeklina
i niechaj o psie swym nie zapomina.
Dalejże wkoło! o! tak. —
Nie dobrze jeszcze. Możeby wspak?
Tak znów się nie zmieszczę w ciasnej tej budzie.
Łańcuch zawadza!
O! ludzie, ludzie!
wszak nie ucieknę!
chyba się tylko wam z głodu wściekne!
Trza strącić obrożę. —
A możeby wznak?
Nie! — bobym chrapał
i mnieby wprzód złodziej, niż ja go złapał.
Niuch do ogona!
Natężyć słuch!
W nim teraz obrona. —

A teraz do pieśni:

Uuj! uuj!
Księżycu mój,
tłusty, najedzony,
ukaż dziś wcześniej
lic twych salcesony
i powiedz mi, kto dał na złość
nas w służbę człowieka?
Kto? — mów, psia kość! —
Czy może ty? —
I płyną psie łzy
i głód dopieka,
za służby wierne
łzy płyną niezmierne. —
Uuj, uuj!
Księżycu mój. —
Czemu równości niema wśród nas? —
Są jedne, pudelki,
od starych ciotek
nad wyraz wszelki
pieszczone,
trefione,
w szatki strojone.
Ba! myte,
iskane,
czesane! —
a drugie bite,
kopane. —
Charty przynajmniej gonią zające,
ratlery szczury,
a pudle na puchach, poduchach
leżą gnijące
na oknie,
u góry;
podczas gdy brytan na słocie moknie.

Co one robią!?
Chyba szpetności same,
a mają pałace! —
a my psią jamę
i głód za pracę! —
Czemu poczwary one zgryźliwe,
brzydsze nad chlewne bezrogi,
tak są cenione, fałszywe buldogi?
Uuj! uuj!
odpowiedz, księżycu mój. —

Zemsta wam, ludzie!
O! my się nie damy,
w jakiej psiej budzie
psi wiec zwołamy!
Zbyt długo się lała ta psia krew nasza
od pałki hycla, zdrajcy Judasza.
Ale nadejdzie nasz dzień zapłaty,
wszyscy się wściekniem, pokąszem katy.
Ja pierwszy rozpocznę, dziś zastrejkuję!
Niech kto chce przychodzi, nie słyszę, nie czuję! —
Oho! już jakieś licho!
tłucze się znów!
Werrr! werrr! —
Leż bratku cicho,
szkoda twych słów. —
A może to stróż
niesie ci żerrr? —
Znów w bramę znak dał!
Hau! hau!
ham, ham,
kto tam?
Swój?
Ach!! pan to mój!
Nie zdołam, nie mogę naturze iść wbrew,
wstać muszę koniecznie,
już taka wiecznie moja psia krew! —
Przepraszam, zaspałem nieco,
zaraz ci, panie, ślepie zaświecą
na powitanie. —
— Gdym we śnie, uczuwam mą dolę
nazbyt boleśnie,
zbudzony, nad wszystko człowieka wolę,
to pan mój urodzony. —
Rób, psie, bokami,
machaj ogonem,
susami bież,
czołem zniżonem
umizgaj się kołem,
to u nóg leż,
choćżeś wiekowy,
choć tobie karesy już nie do twarzy,

wyskakuj przed nim jak błazen cyrkowy!
A nuż się przydarzy, że cię pogłaska.
A może łaska weń strzeli z niebieskich stref
i rzuci ci ochłap lub jaki gnat;
nuże psia krew!
to pan twój, choć kat!
Dalej w podskoki!
Do rąk, do brody!
i wyżej jeszcze, do pańskiej urody.
Zbierz resztki sił!
Choć jeden całus ostatni ukradnij,
a potem padnij,
byle pan kontent dziś z ciebie był. —

O! witam was, panie!
hop, hop, ham, ham.
Już nie wiem sam,
jak moją radość objawić mam.
Nie głodnym już,
hop, hop, hau, hau,
nie trzeba, byś panie jeść dał.
Pies, wierny stróż,
choć zima i pusty brzuch,
wytrzyma, wytrzyma już. —
Wtem buch!! —
Kopnął mię w pysk, —
żem liznąć go śmiał, —
przekleństwo słyszę, —
odszedł, zatrzasnął drzwi. —
Pot kapie mi
i krew i łzy i łzy. — —
Siadłem i dyszę,
ozór wywalam
i serce me ciszę. —
Już nie mam sił nawet, bym wył!
Radości pozór czuciom mym wbrew
został pogodny — szczera psia krew. —
Choć ból mój niezmierny,
chociażem głodny,
znów u drzwi czuwając
i łzy łykając,
leżę, pies wierny.

Alp.



Ile wynosił grosz wdowi?

Na nauce religii była mowa o hojnym faryzeuszu i ofierze ubogiej wdowy. Na pytanie, ile też dała ta biedna wdowa, uczeń z wielką pewnością siebie odpowiada:

— Dała 12 marek 42 fenigi.

— Skądże tak wyrachowałeś?

— Przecież w książce jest wyraźnie tak napisane: Mark. 12, 42. (U św. Marka, rozdz. 12, wiersz 42).

Szarady.

Pierwsze wraz z trzeciem, szkodniki domowe;
Trzeba je tępić, to rzeczy nie nowe.
Drugie i trzecie, zwykle używane
Przy robieniu planów, zawsze wskazywane.
Całość — to naród, w Europie znany,
Mało oświecony, pod batem trzymany.

* * *

Pierwszego, drugiego znamy w literackim świecie,
Że dobrze pisał, czyż o tem nie wiecie?
Drugie, trzecie są na świecie różne,
Ale zawsze źle, jeżeli są próżne.
Całość — to naród, ale i robaki
Są mniej szkodliwe, niżli naród taki.

* * *

Pierwsze z drugiem, w ruch wprawione, toczy się po drodze.
Znajdziesz łatwo, tylko puść swojej myśli wodze.
Drugie z trzeciem dostarczają kamienia obficie,
Trzecie, czwarte w gramatyce patrzcie, a traficie,
Czwarta z trzeciem to siedziba lisa lub borsuka,
Wszystko znajdzie na Pokuciu, kto trochę poszuka.

Nowe łamigłówki z gazet.

Co to jest?

P. P. R. — T. S. L. — N. K. N. — P. O. W. — K. B. K. — P. M. S. — T. R. S. — T. N. S. W. — R. Ż. — P. U. W. — P. P. S. — C. K. R. — L. P. P. — P. D. W. — P. D. S. — Z. R. i t. d. Wartoby wydać do tego słowniczek.

List siostry do brata.

Kochany Zbyszku!

Twoje świadectwo tak Tatusia zmartwiło, że chciał cię oddać do szewca, tylko go wzięto do wojska, więc niema cię gdzie oddać. Mama ci zrobiła dwie pary pończoch, bo podobno mają być karty na pończochy. Jeńcy-Włosi zabili moją kotkę i zjedli, ale Tatuś mówił, że trzeba też zabić i twoje gołębie, bo one nie mają co jeść, a my je zjemy. Moja gliniana skarbonka na pieniądze stłukła mi się, więc sobie kupiłam za pieniądze,. które w niej były, 8 cukierków. Chciałam teraz zbierać skórki i srebro na głodnych, ale niema ani pomarańczy, ani czekolady, więc, jeśli u was są, to zbieraj. Ja teraz zbieram kartki polowe, ale nikt tego nie kupuje. Mama twoje łyżwy schowała, abyś nie psuł bucików, ale jak przyjedziesz na święta, to ci pokażę, gdzie je schowała, jeśli mi co przywieziesz. Ale jeszcze nie wiem, czy przyjedziesz na święta, bo u nas teraz tylko się pali w kuchni i w jednym pokoju, a Mamusia mówiła, że z tobą będzie urwanie głowy siedzieć przez całe święta w jednym pokoju. Tylko schowaj ten list, albo go spal, a nikomu nie pokazuj.

Kochająca cię siostra.



REDAKCYA „KWARTALNIKA CHYROWSKIEGO"

CHYRÓW — KONWIKT.

REDAKTOR: X. TEOFIL BZOWSKI T. J.

